

KAROL MAY

KLASZTOR DELLA BARBARA

SCAN-DAL

JAK KOSZMARNY SEN

Kurt Unger, Sępi Dziób, kapitan Wagner i marynarz Peters przybyli na dworzec w Veracruz. Na peronie zauważyli francuskiego żołnierza; na ramieniu miał przepaskę z napisem „zwrotniczy kolejowy”. Kurt podszedł do niego i zapytał po francusku:

— Długo tu pracujecie, kolego?

Żołnierz wyczuł widać, że ma do czynienia z oficerem, bo odparł uprzejmie:

— Od pewnego czasu, monsieur. Jestem ranny. Czekam na okręt, który zabierze mnie do ojczyzny. Ale że chodzić mogę, zarabiam tu na drobne wydatki.

Kurt wyjął z kieszeni pięciofrankówkę.

— Będziecie za to mogli kupić sporo tytoniu. O której zaczęliście dziś służbę?

Żołnierz zasalutował.

— Dziękuję, monsieur. Odprawiłem już trzy pociągi.

— Kiedy odszedł ostatni?

— Przed jakąś godziną, do Lomalto. To końcowa stacja.

— Czy widzieliście w pociągu osoby cywilne? Żołnierz chytrze zmrużył oczy.

— Właściwie nie.

— A niewłaściwie?

— Tego nie wolno mi zdradzić. Jestem tylko podrzędnym pracownikiem i wykonuję polecenia przełożonych.

— Dobrze. Więc formalnie nie widziałeś. A naprawdę ile ich było?

— Tylko trzy. Wsiadły do przedziału służbowego.

Kurt był zadowolony z informacji. Chcąc się jednak upewnić, że chodzi o tych samych mężczyzn, pytał dalej:

— Jak wyglądali?

Żołnierz opisał całą trójkę. Gdy skończył, kapitan Wagner wykrzyknął:

— Oni, bez wątplenia oni! Nie wiem tylko, kim jest ten trzeci. Na pewno nie było go na pokładzie.

— Dowiemy się i tego. — Kurt zwrócił się znowu do żołnierza: — Kiedy odchodzi następny pociąg?

— Dopiero za trzy godziny. Trzeba czekać na lokomotywę z Lomalto. Przyciągnie skład pełen żołnierzy.

— A wcześniej nie ma żadnego pociągu, choćby towarowego?

— Nie.

Podziękowawszy zwrotniczemu, Kurt odszedł wraz z towarzyszami.

— A więc umknęli! — zdenerwował się kapitan. — To moja wina! Co robić?

— Cierpliwości, drogi przyjacielu — uspokajał go Kurt. — W każdym razie nie ulega wątpliwości, że pojechali do stolicy. Jadę za nimi i mam nadzieję, że ich spotkam.

— Czy pozwoli pan, panie poruczniku — spytał Wagner — aby przyłączył się do pana mój goniec, którego muszę wysłać do Meksyku i do hacjendy del Erina z raportami okrętowymi?

— Oczywiście. Pod warunkiem, że nie będzie mi zawadą.

— Może pan być spokojny. Co by pan powiedział, gdybym to zadanie powierzył Petersowi?

— Dobry pomysł. Zna chyba naszych zbiegów?

— Lepiej ode mnie. No i co ty na to, Peters?

— Bardzo się cieszę, panie kapitanie.

— Rozumiesz trochę po hiszpańsku, co?

— Tak. Mogę się od biedy rozmówić.

— A po francusku?

— Akurat tyle, aby powiedzieć, jak bardzo kocham Maksymiliana.

— Chodźmy więc na pokład! Uporządkuję swoje rzeczy i dam ci odpowiednie instrukcje. Gdzie się spotkamy, panie poruczniku?

— Najlepiej w restauracji, na dworcu.

Kapitan udał się z Petersem na przystań, Kurt zaś z Sępim Dziobem do biura naczelnika stacji.

— Kiedy odchodzi następny pociąg do Lomalto? — spytał Kurt. Urzędnik uważnie przyjrzał się pytającemu.

— Za dwie i pół godziny. Chce pan pojechać tym pociągiem? Nie zabieramy ani cywilów, ani obcokrajowców.

— Pozwoli pan, że się przedstawię.

Podał naczelnikowi dokument. Ten rzuciwszy nań okiem, od razu zmienił ton.

— Jestem do pańskich usług, panie poruczniku. Ile miejsc pan potrzebuje?

— Trzy.

— Zarezerwuję panu przedział pierwszej klasy.

— Dziękuję. Czy pociąg ma połączenie z dyliżansem pocztowym?

— Nie, nie ma. Niewielka to jednak strata. Radziłbym panu pojechać konno.

— Nie mam koni.

— Ach, tu wszyscy je mają. Jeżeli pan dłużej pozostanie w naszym kraju, będzie pan musiał kupić sobie konia.

— Mam zamiar zrobić to w stolicy.

— Dlaczego dopiero tam? Zapłaci pan o wiele drożej niż u nas.

— Ale skąd tu wziąć dobrego wierzchowca?

— Żaden problem. Nawet ja mam kilka rasowych. Należały do francuskich oficerów, nie chcieli zabierać ich do kraju. Kosztują niewiele. Chce pan obejrzeć?

— Owszem, senior.

— Jeżeli ubijemy interes, nie będzie pan musiał czekać w Lomalto na dyliżans. Do Lomalto konie przewieziemy pociągiem, za transport nic nie doliczę.

Transakcja doszła do skutku. W ciągu pół godziny Kurt został właścicielem trzech koni. Wydawało się, że mają wszystkie zalety, o których mówił naczelnik.

— Chwała Bogu! — ucieszył się Sępi Dziób. — Nareszcie będę mógł dosiąść konia! Ależ mi się cknij za nim! Już nieraz kalkulowałem, jak by pogalopować na własnym nosie.

Godzinę przed odejściem pociągu w restauracji dworcowej zjawili się kapitan Wagner z Petersem.

— Chłopcze, czy umiesz jeździć konno? — zwrócił się Sępi Dziób do marynarza. — Kupiliśmy konie. Z Lomalto do Meksyku pojedziemy konno. Czy wiesz, co to jest siodło?

— Sądzi pan, że marynarze nie znają się na koniach? Jako młody chłopak dosiadałem najdzikszych ogierów.

— Twoje szczęście. Nie mielibyśmy czasu na podnoszenie cię co pięć minut.

Usiedli przy stoliku. Wagner opowiedział pokrótce o swym spotkaniu z don Fernandem i o podróży na wyspę, Kurt z kolei zrelacjonował, co zaszło od chwili lądowania w Guaymas. Wagner słuchał z wielką uwagą.

— A więc znowu zaginęli?! — zawołał zrozpaczony.

— Niestety tak. Mam jednak nadzieję, że uda mi się natrafić na ich ślad.

— Może już jesteśmy na tropie? — Sępi Dziób był optymistą. — Różne myśli snują mi się po głowie. Dokąd udaje się Landola i Cortejo?

— Prawdopodobnie tam, gdzie ich sojusznicy.

— To chyba niebezpieczne przypuszczenie. W każdym razie musimy tamtych dwóch odszukać. Wtedy dowiemy się, jakie żywią zamiary.

— Ale nie możemy zwlekać — przynaglał Wagner. — Chciałbym uchronić swoich chłopców od niebezpieczeństwa febry.

— Niech więc pan znajdzie inny port w pobliżu Veracruz.

— Dobrze. Przy płynę do zatoki Vermeja i tam będę czekał. Ale co z wami i z tymi biedakami?

Kapitan Wagner tak się martwił losem swych przyjaciół, że trudno go było uspokoić. Klął siarczyście Corteja i jego towarzyszy. Dopiero sygnał do odjazdu pociągu przerwał potok wyzwisk.

Upewniwszy się, że konie odbędą podróż w dobrych warunkach, Kurt wraz z Petersem i Sępim Dziobem zajął wyznaczony przedział. Pożegnanie z Wagnerem było krótkie, ale bardzo serdeczne. Gdy pociąg ruszył, kapitan machając czapką krzyknął:

— Szczęśliwej podróży, panie poruczniku! Proszę wracać ze wszystkimi przyjaciółmi. A tych szubrawców, tych łotrów niech pan zetrze w pył!

Po dwóch godzinach przybyli do Lomalto. Kierownik pociągu otworzył przedział. Kurt domyślił się, że ten sam człowiek wiozł poszukiwaną trójkę. Zapytał więc o to wprost.

Zaskoczony konduktor odpowiedział niepewnym głosem:

— Tak, monsieur...

— Niech się pan niczego nie obawia — uspokoił go Kurt. — Chciałbym tylko wiedzieć, dokąd zamierzali się udać.

— Do Meksyku. Jechali w moim przedziale i pytali dokładnie o drogę do stolicy. Widziałem, jak wszyscy trzej wsiedli do dylizansu pocztowego przed dworcem.

Kurt dał mu napiwek. Zadowolony konduktor osobiście wyprowadził ich konie.

Zakupiwszy nieco prowiantu na drogę, dosiedli koni i ruszyli galopem. Sępi Dziób objął dowództwo.

Podczas tej uciążliwej podróży Peters okazał się całkiem dobrym jeźdźcem. Jednakże z powodu złego stanu drogi nie udało się dogonić dylizansu, ciągnionego przez czterokonny zaprzęg. Po przybyciu do stolicy dowiedzieli się, że dylizans przybył przed południem, a więc przed kilkoma godzinami.

— Jak znaleźć tych łotrów w takim wielkim mieście? — złościł się Sępi Dziób. — Niech diabli porwą te ulice i uliczki! W gąszczu leśnym czy na prerii z pewnością by mi nie uszli.

— Jestem przekonany, że znajdzie się na to sposób — zauważył spokojnie Kurt. — Przypuszczam, że po pierwsze będą próbowali się dostać do pałacu Rodrigandów...

— Do licha, racja! Musimy go odszukać, i to natychmiast! A po drugie...?

— Wiecie, że grób don Fernanda jest pusty?

— Oczywiście, nawet widziałem „nieboszczyka”!

— Cortejo i Landola są przekonani, że my udamy się właśnie do grobowca. Będą więc starali się włożyć do trumny ciało innego zmarłego.

— Tego się można po tych łotrach spodziewać! Panie poruczniku, muszę przyznać, że mimo młodego wieku jest pan bardzo przebiegły. Powinniśmy ich uprzedzić. A więc w drogę! Każda minuta jest cenna.

Dotarłszy do miasta zatrzymali się w pierwszej gospodzie.

Wypocząwszy nieco, Kurt poszedł do pałacu Rodrigandów. Z odnalezieniem go nie miał kłopotu.

Przed bramą zatrzymał go wartownik. Kurt wyjaśnił, wręczając swoją wizytówkę (tak samo jak Cortejo), że chciałby się widzieć z administratorem. Zarządca był tym razem w kancelarii i przyjął go natychmiast.

— Czym mogę służyć, monsieur? — zapytał uprzejmie.

— Proszę mi wybaczyć — Kurt lekko się skłonił — przychodzę w sprawie osobistej. Chciałbym otrzymać pewne, bardzo ważne dla mnie informacje. Czy nie odwiedził dziś pana pewien człowiek, który podawał się za agenta hrabiego Rodrigandy?

— Owszem, był u mnie przed południem. Co chciałby pan wiedzieć?

— Czy nie wypytywał przypadkiem o szczegóły dotyczące zarządzania dobrami hrabiego?

— Nie tylko. Chciał nawet objąć zarząd majątku.

— Spodziewałem się tego. Czy przedstawił się jako Antonio Veridante?

— Rzeczywiście, tak.

— A może zna pan miejsce pobytu tego człowieka?

— Nie.

— Zależy mi bardzo, aby się tego dowiedzieć. To wyjątkowo niebezpieczny i wyrafinowany przestępca. Nie jest wykluczone, że wróci tu jeszcze. Gdyby się tak stało, proszę bardzo o zatrzymanie go i powiadomienie posła pruskiego pana von Magnusa.

— Zatrzymać go? Na jakiej podstawie? Tego nie wolno mi robić bez nakazu władz!

— Nie będzie to wbrew prawu. Rzekomy Veridante to nie kto inny, tylko sam Gasparino Cortejo, brat Pabla Corteja, którego pan z pewnością zna.

— Oczywiście, że tak.

— Natomiast jego rzekomym sekretarzem jest niejaki Enrique Landola, znany jako Grandeprise, kapitan pirackiego okrętu „Lion”. Obydwaj posługują się fałszywymi paszportami. Ścigam ich od Veracruz.

— To mi wystarczy; gdy tylko zobaczę tego Corteja, każę go niezwłocznie

aresztować.

Po udzieleniu Francuzowi jeszcze kilku niezbędnych informacji Kurt udał się do pana von Magnusa. Miał mu wręczyć tajne dokumenty. Poseł pruski potraktował go z wielką atencją. Podczas rozmowy Kurt wyjawiał prywatny cel swojej podróży. Dyplomata słuchał uważnie.

— Może pan liczyć na moją pomoc — zapewnił — będę się starał zrobić wszystko w miarę swoich możliwości. Chce pan obserwować grobowiec? Dobrze. Ale musi pan zachować maksymalną ostrożność. Uważam, że należałoby potajemnie dokonać oględzin trumny, oczywiście w obecności wiarygodnego świadka. Na pańskim miejscu nie korzystałbym z usług francuskiego urzędnika, lecz rodowitego Meksykanina. Chyba najwłaściwiej byłoby zwrócić się do alkalda, który wręczył córce Pabla Corteja rozkaz opuszczenia miasta i kraju.

Von Magnus chciał w ten sposób dać Kurtowi do zrozumienia, że może nadejść chwila, w której zwolennicy rządów cesarskich nie będą mieli nic do powiedzenia.

— Czy ten urzędnik zechce spełnić moją prośbę? — zapytał porucznik.

— Z pewnością. To mój znajomy. Napiszę do niego parę słów. W kwadrans później Kurt zjawił się u alkalda. Po zaznajomieniu się z treścią listu posła pruskiego poważna, niemal ponura twarz Meksykanina rozjaśniła się. Podał Kurtowi rękę, mówiąc:

— Pan von Magnus poleca pana bardzo gorąco. Píše, że przybywa pan do mnie w sprawie, w której może będę mógł pomóc. Jestem do pańskiej dyspozycji. Mimo że w obecnej sytuacji kraju kompetencje moje są niezbyt wielkie, mam nadzieję, iż uda mi się coś dla pana zrobić. Niech pan siada! Słuchani.

Ulokował się wygodnie w hamaku i zapalił papierosa. Kurt również zapalił, po czym zaczął nerwowo chodzić po kancelarii.

— Opowiedział mi pan niezwykłą historię — rzekł wreszcie. — Pójdę na cmentarz wraz z kilkoma urzędnikami. Mam nadzieję, że będzie mi pan towarzyszył?

— Oczywiście.

— Poślę natychmiast do pałacu Rodrigandów po klucze od grobowca.

— Czy nie uważa pan, że można by się bez nich obyć? Chyba lepiej nie wtajemniczać w tę aferę zbyt wielu osób, zwłaszcza okupantów...

— Hm, ma pan rację. Jako urzędnik mam dodatkowe klucze. Mogę ich przecież czasami potrzebować... Idziemy?

— Im szybciej, tym lepiej.

Alkald wydał odpowiednie dyspozycje, po czym obydwaj wyszli. Aby nie ściągać na

siebie uwagi, każdy szedł oddzielnie. Po drodze Kurt zawiadomił Sępiego Dzioba i Petersa; ruszyli za nim w pewnej odległości. Kiedy dotarli na cmentarz, spotkali tam już czekających zgodnie z rozkazem alkałda kilku policjantów. Jednemu polecono, by otworzył drzwi grobowca. Po kilku minutach zameldował, że wszystko w porządku. Pojedynczo, w milczeniu, przyświecając sobie latarkami, zeszli na dół. Niewiele czasu zajęło im odszukanie właściwej trumny. Gdy ją otworzono, alkałd wykrzyknął:

— Santa Madonna! Rzeczywiście jest pusta! Kurt zaczął się jej przyglądać.

— Proszę popatrzeć na poduszki. Wyglądają jak nowe.

— Tak, w tej trumnie nie było zwłok — powiedział urzędnik. — Zrobię wszystko, aby wykryć sprawców tego haniebnego czynu. Policja będzie strzegła całego cmentarza, a szczególnie grobowca.

— Czy to naprawdę dobry pomysł? — zapytał z powątpiewaniem Kurt. — Oni nie są naiwni. Nie podłożą ciała w biały dzień...

— I ja tak myślę — przerwał mu alkałd. — Na pewno będą działać pod osłoną nocy. Ale skąd wezmą nieboszczyka?

— Och, Landola i Cortejo poradzą sobie! Wystarczy im ciało mężczyzny, które leży w trumnie mniej więcej od tego czasu, co rzekomo zmarły don Fernando. Uważam, że wieczorem należy zaciągnąć strażę i przycząić się na gagatków.

— Obsadzę wejście do grobowca.

— Tam chce ich pan ująć? Wolałbym, aby zeszli na dół. Stamtąd trudno uciec.

— Ma pan rację. A więc do wieczora.

Gdy tylko się ściemniło, spotkali się znowu na cmentarzu.

— Teraz musimy mądrze rozstawić ludzi — rzekł alkałd. — Dwóch będzie pilnować bramy...

— To niezbyt rozsądne — przerwał Sępi Dziób. — Byliby ostatnimi głupcami, gdyby weszli przez bramę. Należy przypuszczać, że przedostaną się przez mur.

— Muszę więc zwiększyć strażę.

— Ależ to zbytuczne! Zostańcie tylko przy grobowcu, resztę ja załatwię.

— Pan? — zapytał z niedowierzaniem alkałd. — Pan sam?

— Dlaczego nie, do pioruna! — fuknął Sępi Dziób, plując gwałtownie.

— Jeden człowiek to za mało.

— Jest pan w błędzie. Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść. Pańscy ludzie z pewnością nie słyszą nocą chrząszczy w trawie.

— Usłyszysz senior kroki tych ludzi? — powątpiewał urzędnik.

— Jestem tego pewien.

— Nawet z dużej odległości?

Amerikanina znudziła długa indagacja. Splunawszy nad głową alkalda, powiedział:

— Kalkuluje, że prędzej mnie może master powierzyć pieczę nad cmentarzem niż tym policjantom. To wszystko, co mam do powiedzenia. Jeżeli mi pan nie wierzy i postanowił ustawić strażę na wszystkich murach, jak gdyby chodziło o odparcie jakiegoś szturm, to radzę wziąć pod uwagę, że te łotry zauważą nas szybciej niż my ich. A gdy poczują pismo nosem, dadzą dyla.

— No dobrze. Będziemy więc przy grobowcu, a potem zejdziemy do podziemi, senior zaś będzie penetrował cmentarz.

— Zostawcie tylko przy drzwiach jednego policjanta, żebym nie musiał schodzić na dół i przekazywać wiadomości.

Sępi Dziób oddalił się; po chwili alkald, Kurt i Peters wraz z trzema policjantami zeszli do grobowca. Już wkrótce czas oczekiwania zaczął im się dłużyć. Powoli zaczęli tracić cierpliwość.

— Może wcale nie przyjdą — westchnął alkald.

— Trzeba się z tym liczyć — powiedział Kurt. — W takim razie przed nami kolejna noc.

— Może przyszli, a myśliwy...

Wtem usłyszeli kroki. To policjant schodził do podziemi.

— Są? — zapytał uradowany alkald.

— Tak, senior! Jest ich trzech. Traper prosi, byście pogasili latarki. Poszedł ich śledzić. Dwaj zniknęli wśród grobów, trzeci stoi przy bramie na czatach.

W milczeniu czekali na dalszy bieg wydarzeń. Napięcie wzrosło jeszcze bardziej, gdy zjawił się Sępi Dziób. Ponieważ było ciemno, wymienił szeptem swoje imię, aby nie wzięto go za jednego ze zbirów.

— Gdzie oni są? Co robią? — obrzucono go pytaniami.

— Wszystko układa się zgodnie z naszymi przypuszczeniami. Teraz wyciągają „hrabiego Fernanda”. Wyślijcie dwóch policjantów, niech złapią stojącego przy bramie, gdy tylko pozostali zaczną schodzić na dół.

Sępi Dziób szybko wrócił na górę, aby dalej śledzić Corteja i Landolę. Policjanci zaś skradając się udali się w stronę bramy. Znowu upłynęło sporo czasu, zanim traper spieszenie zbiegł na dół.

— Idą — oznajmił krótko. — Niosą nieboszczyka. Musimy się ukryć za trumnami.

Jeden z policjantów przez nieuwagę błysnął latarką. Zanim ją wyłączył, Sępi Dziób szepnął do niego:

— Nie gaś jej, jeszcze będzie potrzebna.

— Po co?

— Zaraz się dowiesz. Pomóż mi zdjąć wieko z trumny. Podnieśli wieko. Ku najwyższemu zdumieniu policjanta Sępi Dziób wszedł do trumny i wygodnie się w niej ułożył.

— Do licha! Co to ma znaczyć? — przeraził się policjant.

— Teraz zamknij wieko, mój drogi! — polecił spokojnie Sępi Dziób.

— Nie rozumiem...

— Popatrz na mój nos i wyobraź sobie minę człowieka, który spodziewa się zastać pustą trumnę, otwiera ją i... widzi mnie. Jak w koszmarnym śnie! Prawda? Spuszczaj wieko!

Policjant wahał się jeszcze. Kurt chciał również zaprotestować. Nagle na górze dał się słyszeć jakiś szmer.

— Do diabła, zamykaj szybko! — rozkazał Sępi Dziób, wyciągając ręce wzdłuż ciała.

Policjant nie miał wyboru. Nałożył ostrożnie wieko i czym prędzej się ukrył.

Zapanowała grobowa cisza. Nagle zakłócił ją zgrzyt klucza. Po chwili na schodach rozległy się kroki. W blasku latarki ukazał się Landola, a za nim Cortejo. Kurt stał obok Petersa.

— Czy to oni? — szepnął.

— Tak — chłopak skinął głową. Landola zwrócił się do Corteja:

— Niech pan poświeci!

Zaczęli oglądać trumny. Po chwili znaleźli właściwą.

Policjant nie miał czasu umocować wieka. Gdy Landola i Cortejo chwycili za wieko, bez większego wysiłku podnieśli je do góry. I wtedy ujrzeli wymierzony w nich monstrualny nos i nieruchome oczy.

Wrzasnęli przeraźliwie, a potem strach ich sparaliżował. Cortejo stał jak posąg, trzymając latarkę w ręku.

Po kilku sekundach odzyskali mowę.

— Wielkie nieba! — krzyknął Cortejo. — Kto to?

— Diabeł! — jęknął Landola.

Obu łotrów, których bezecne czyny dowodziły, że nie lękają się ani Boga, ani szatana, ogarnęło przerażenie tak okropne, że ruszyć się z miejsca nie mogli.

— Tak, to szatan! — stęknął Cortejo.

— Pffttff, pffttff! — bluznęło im z trumny sokiem tytoniowym prosto w twarz.

— Nie mylicie się! Jestem diabłem, szatanem, Belzebubem! — ryknął Sępi Dziób, wyskakując z trumny. — Pójdziecie ze mną do piekła! Oto chrzest przed wejściem do podziemi!

Wymierzył im po tak siarczystym policzku, że obaj znaleźli się na kamiennej płycie. Pochylił się nad nimi i w mgnieniu oka broń, którą mieli przy sobie, „przefrunęła” do najodleglejszego kąta grobowca.

Padając na płytę Cortejo wypuścił z rąk latarkę. Sępi Dziób chwycił ją w lewą rękę, a prawą, uzbrojoną w bagnet, zagroził wyjście na schody.

Ta szamotanina spowodowała, że zbirom wróciło poczucie rzeczywistości. Oprzytomnieli i zaczęli podnosić się z posadzki. Cortejo zawołał:

— Do pioruna, to przecież człowiek!

Strach przemienił się we wściekłość. Sądząc, że w podziemiu oprócz Sępiego Dzioba nie ma nikogo, odzyskali na moment pewność siebie.

— Łotrze! Co tu robisz? — krzyknął Landola. — Odpowiadaj, inaczej...!

— Phi! Pierwszemu, kto się odważy mnie dotknąć, wpakuję w łeb latarkę, by mu się zdawało, że świeci w nim tysiące słońc i księżyców. No, dosyć żartów! Jesteście moimi jeńcami.

Minę miał tak groźną, że nawet Landola cofnął się o krok i z przestraczem zaczął wypatrywać broni.

— Oszalałeś! My mamy być twoimi jeńcami?!

— Wątpicie w to? Rozejrzyjcie się dokoła.

Wskazał na tylną ścianę grobowca. Stali przy niej ci, którzy dotychczas ukrywali się za trumnami. Wszyscy jednocześnie zapalili latarki. Zrobiło się zupełnie jasno.

— Do stu tysięcy diabłów! Mnie nie chwycicie! — ryknął kapitan piratów.

— Ani mnie! — wtórował mu rzekomy Veridante.

Rzucili się na Sępiego Dzioba. Był na to przygotowany. Najpierw uderzył latarką w twarz pirata, którego uważał za bardziej niebezpiecznego. Szkło rozprysło się na drobne kawałki. Oszołomiony Landola odskoczył w tył. Niemal równocześnie Cortejo otrzymał tak potężnego kopniaka, że zwałił się na kamienną płytę. W tym momencie podskoczyli do nich towarzysze Sępiego Dzioba i obezwładnili, skrępowawszy powrozami.

Widząc, że wszelki opór jest daremny, Cortejo dał za wygraną. Landola jeszcze się szamotał i pieniał z wściekłości. W rezultacie skrępowano go mocniej niż Corteja.

— A więc mamy ich! — odetchnął alkald. — Czy zaraz przystąpimy do

przesłuchania, panie poruczniku?

— To nie jest odpowiednie miejsce. Musimy przede wszystkim znaleźć nieboszczyka, którego ci dwaj zostawili z pewnością na górze. Prócz tego trzeba ująć człowieka stojącego na warcie.

— Już go na pewno mamy!

Jednak alkald się mylił. Grandepriise był bowiem doświadczonym myśliwym. Stał przy bramie i czekał na towarzyszy. Nagle usłyszał za sobą jakiś szelest. Momentalnie padł na ziemię i zaczął pełzać w kierunku, skąd dochodziły odgłosy. Dotarł do gęstego krzaka róży, przy którym zatrzymali się dwaj policjanci.

— Nie widzę go — rzekł jeden.

— Ani ja — przytaknął drugi.

— Kto wie, co ten chłop z wielkim nosem zobaczył. Może nikt nie stoi na warcie?

Szukajmy dalej!

Zaczęli się skradać. Grandepriise zauważył dopiero teraz, że tropią go policjanci.

— Do licha! — mruknął. — Może chcą mnie aresztować? Muszę ostrzec towarzyszy.

Zaczął się czołgać w kierunku, dokąd poszli Cortejo i Landola. Nie znalazł ich jednak. Ostrożnie szukał więc dalej. Wtem dojrzał wśród zarośli promień światła. Skierował się w jego stronę i dotarł aż do grobowca Rodrigandów. Tu usłyszał głośną rozmowę.

— O, leży tutaj! — mówił ktoś.

— Rzeczywiście jest nieboszczyk. Chcieli go włożyć do trumny hrabiego. Muszą powiedzieć, jaki grób rozkopali.

Schwytali ich — pomyślał Grandepriise. Nie zrobili przecież nic złego, ale panowie Francuzi nie będą się z nimi długo cackać. Muszę ich uwolnić.

Ukrył się za jednym z pomników i zaczął obserwować, co będzie dalej.

Wkrótce przyprowadzono Corteja i Landolę.

— Skąd wzięliście zwłoki? — zapytał alkald. Milczeli.

— Zbrodniarze milczą zwykle wtedy — odezwał się Kurt — gdy już nie mają nic do stracenia. Rano zobaczymy, z którego grobowca wykradziono ciało.

— Zgadzam się z panem — poparł go alkald. — Do tego czasu wszystko powinno pozostać, jak jest. Zostawię na straży kilku ludzi. A tych łotrów zaprowadzimy do więzienia.

Alkald, Kurt, Sępi Dziób i Peters opuścili z Landola i Gasparinem Cortejem cmentarz. Grandepriise, nie zauważony przez nikogo, skradał się w niewielkiej odległości za nimi.

W więzieniu próbowano znowu przesłuchać jeńców. Jednak i tu milczeli jak zakłęci. Ponieważ tylko jedna cela była wolna, umieszczono ich razem.

Kurt zwrócił się do Corteja:

— Niech pan nie sądzi, senior Cortejo, że milczenie coś wam pomoże. Wiem o wszystkim. Przyznanie się do winy jest mi niepotrzebne.

Tym razem Cortejo nie wytrzymał:

— Czcze gadanie! — rzucił z pogardą.

— Nazywam się Kurt Unger. Jestem synem sternika Ungera, jednego z tych, których Landola wywiózł na wyspę. Nie możecie, oczywiście, liczyć na pobłażliwość, ale pewna skrucha mogłaby wpłynąć na wymiar kary.

— Tak?! A co jeszcze wiecie?

— Wszystko. Gra skończona!

TRAPERSKI FORTEL

Kiedy Corteja i Landolę próbowano przesłuchiwać, Grandepriise obchodził wkoło budynek więzienny, badając dokładnie mury. Były bardzo mocne; nie znalazł najmniejszej szczeliny czy choćby jednej obluzowanej cegły. Nagle zauważył, że w jednym z zakratowanych okien zapaliło się światło.

— Na pewno — mruknął — umieszczą ich w tej celi. Dobrze, że chociaż to wiem. A może ich rozdziela?

Czekał, czy światło nie zaświeci się w innym oknie. Ale tak się nie stało.

— Doskonale! Chyba więc są razem. Muszę poczekać, aż odejdą ich prześladowcy.

Ukrył się w mroku naprzeciwko wyjścia z więzienia. Nawet niedługo czekał. Po chwili ujrzał czterech mężczyzn.

— A więc droga wolna. Co robić? Trzeba działać szybko. Jutro może być za późno.

Szedł ulicą pogrążony w rozmyślaniach. Nagle usłyszał w pobliżu czyjeś kroki i dźwięk ostróg. Po chwili minął go jakiś francuski oficer.

— Ale będzie heca! — Grandepriise uśmiechnął się do siebie. — Ten człowiek ma postawę podobną do mojej. To ci okazja! Jazda naprzód, bez namysłu!

Zawrócił i pobiegnął za oficerem.

— Monsieur, monsieur! — zawołał półgłosem.

— O co chodzi? — Francuz zatrzymał się.

— Kapitan Mangard de Vautier?

— Nie znam żadnego oficera o tym nazwisku.

— Ja też nie.

Chwycił Francuza lewą ręką za gardło, prawą zaś uderzył go kolbą rewolweru. Oficer upadł na bruk.

— No, gładko poszło — sapnął.

Przerzucił nieprzytomnego przez bark i zaniósł pod mur. Zdjął z niego mundur, skrepiwał chustkami, zakneblował mu usta i narzucił na niego swoje ubranie. Potem włożył na siebie mundur. Przypassał broń i ruszył do więzienia pobrzękując ostrogami. Stanąwszy przed bramą, zadzwonił.

— Kto tam? — zapytał wartownik.

— Adiutant gubernatora. Otworzyć!

Klucz zgrzytnął w zamku. Grandepriise wszedł. Zbliżył się wartownik i zobaczywszy

oficera zasalutował.

— Czy inspektor ma służbę? — zapytał myśliwy.

— Nie, panie kapitanie. Przed chwilą przyjął dwóch więźniów i położył się spać.

— Kto go zastępuje?

— Klucznik.

— Gdzie jest?

— Na parterze.

Grandeprise przeszedł dziedziniec i zadzwonił do bramy prowadzącej do budynku. Klucznik otworzył. Francuzi byli panami Meksyku, czuli się tu jak u siebie w domu, słuchano ich z niewolniczą uległością. Traper przybrał wyniosłą minę i zapytał głosem nie znoszącym sprzeciwu:

— Czy inspektor śpi?

— Tak. Mam go obudzić?

— Nie trzeba. Ilu ludzi w wartowni?

— Ośmiu.

— Jestem adiutantem gubernatora. Czy możecie mi przydzielić dwóch ludzi do transportu aresztanta?

— Oczywiście.

Pospieszcie się! Mam niewiele czasu.

Klucznik odszedł, aby wykonać rozkaz, a Grandeprise zaczął uważnie rozglądać się po korytarzu.

Zobaczył tablicę, na której wypisano nazwiska wszystkich aresztantów. Pod numerem trzydziestym drugim przeczytał: ANTONIO VERIDANTE wraz z sekretarzem. Na stole leżały różne papiery, wśród nich kartki z potwierdzeniem odbioru aresztantów. I to było Grandeprise'owi na rękę. Szybko wyjął pióro, wypełnił jedną z nich i podpisał nazwiskiem gubernatora. Ledwie wysuszył ją bibułą i włożył do kieszeni, zjawił się klucznik w towarzystwie dwóch żołnierzy z karabinami.

— Oto żołnierze, których pan kapitan żądał — zameldował.

— Dobrze. Gdzie klucze?

— Mam przy sobie.

— Idziemy!

Grandeprise pamiętał, że cela, o którą mu chodzi znajduje się na pierwszym piętrze. Kiedy stanęli przed numerem 32, rozkazał:

— Otworzyć!

Klucznik spełnił rozkaz bez wahania. Weszli do środka. W świetle latarki klucznika aresztowani ujrzeli francuskiego oficera.

— Czy senior to adwokat Antonio Veridante? — Grandeprise zapytał Corteja.

— Tak.

— A to pański sekretarz? — I nie czekając na odpowiedź zwrócił się do wartownika:
— Dajcie no latarkę!

Udając, że chce oświetlić twarze więźniów, manipulował latarką tak, aby mogli go zobaczyć. Zorientowali się od razu w sytuacji.

— Tak, to oni! — stwierdził. — Gubernator chce ich natychmiast widzieć. Są podejrzani o kontakty z Juarezem. Zabiorę ich ze sobą.

Podał klucznikowi potwierdzenie odbioru i rzekł ostrym tonem:

— Oto dowód podpisany przez gubernatora, że więźniowie mają mi być wydani. Za mniej więcej godzinę przyprowadzę ich z powrotem. Przygotujcie potwierdzenie, abym nie musiał czekać.

Pchnął więźniów w kierunku drzwi i skinął na żołnierzy, by ich pilnowali. Klucznik tymczasem odczytywał dokument przy nikłym blasku latarki. Nawet mu do głowy nie przyszło, że coś może być nie w porządku.

Zeszli po schodach, minęli dziedziniec i doszli do bramy. Otworzył ją wartownik o nic nie pytając. Na ulicy żołnierze bez słowa skierowali się w kierunku pałacu gubernatora.

Uliczki były wąskie i nie oświetlone, ponieważ nie było latarni. Panowały egipskie ciemności, żołnierze trzymali więźniów za ramiona. Grandeprise już w celi zauważył, że aresztanci mieli ręce skrepowane rzemieniami.

Gdy przeszli spory kawał drogi, „kapitan” wyciągnął dyskretnie bagnet i zwrócił się do konwojentów:

— Czy pilnujecie dobrze więźniów?

— Tak, panie kapitanie — odparł jeden z nich. — Prowadzimy ich pod rękę.

— A rzemienie?

— Z pewnością trzymają mocno.

— Nie zawadzi sprawdzić.

Udał, że kontroluje więzy. W rzeczywistości poprzecinał rzemienie.

— Wszystko w porządku! — upewnił żołnierzy. — Możemy być całkiem spokojni.

Szli dalej. Na najbliższym rogu ulicy jeden z żołnierzy przeraźliwie krzyknął i upadł na chodnik.

— Co się stało, u licha?! — zawołał Grandeprise.

— Do pioruna! — zaklął żołnierz. — Mój aresztant wyrwał się, przewrócił mnie na ziemię i uciekł!

— Za nim!

Żołnierz pobiegł, trzymając karabin w rękę. Nie strzelał jednak, ponieważ w ciemnościach nic nie widział.

— A ty — zwrócił się Grandepriś do drugiego konwojenta — dobrze pilnuj swojego więźnia. Miałbym się z pyszna, gdybyśmy nie dostali zbiega.

— Niech się pan nie martwi, kapitanie — uspokajał żołnierz. — Na pewno go złapie, Ach, ach...!

— Co znowu?

Francuz leżał na ziemi, jak przed chwilą jego kolega i wrzeszczał:

— Ależ mnie zdzielił!

— Do kroćset! Co z was za fajtlapy! Gdzie aresztant?

— Uciekł — odpowiedział żołnierz drżącym głosem.

— Ruszaj szybko za nimi! Nie ociągaj się, bo będziesz miał ze mną do czynienia! Niech cię diabli porwą, jeżeli go nie schwytasz!

Przestraszony żołnierz pobiegł ile sił w nogach.

Zaledwie przebrzmiało echo jego kroków, Grandepriś zawrócił.

— A to spryciarze! — mruczał z zadowoleniem. — Z tych zaś Francuzów istne ciamajdy. Nic nie zauważyli. Zdziwiłbym się, gdybym tu gdzieś nie spotkał moich „więźniów”.

I rzeczywiście. Po chwili zbliżyły się do niego dwie postacie.

— Melduję, że jestem, kapitanie — szepnęła jedna.

— Ja również — dodała druga.

— Gdzie żołnierze? — zapytał Landola.

— Daleko! — myśliwy uśmiechnął się szeroko.

— A to głupcy! Ale nasze szczęście, że nie wzięli latarek.

— No właśnie — dodał Cortejo. — Powiedz nam teraz, senior Grandepriś, skąd masz ten strój.

— To dziecinnie proste — roześmiał się traper. — Po prostu powaliłem pewnego oficera i rozebrałem go.

— Do kroćset! Co za odwaga! A co z oficerem?

— Zapewne leży jeszcze tam, gdzie go zostawiłem. Zakneblowałem mu usta, żeby nie mógł krzyczeć i nie wezwał pomocy. Zaraz go odszukam i oddam mu mundur. Chodźcie tam

ze mną!

Tymczasem Kurt i marynarz Peters rozstali się z alkaldem i wrócili do oberży. Sępi Dziób nie mógł usiedzieć na miejscu, nie mówiąc już o spaniu. Na prerii, w lesie, gdy nieraz mu przyszło samemu pilnować jeńców, doskonale wiedział, że nie uciekną. Ale tu... Intuicja mu mówiła, że dozór w więzieniu jest niedostateczny. Bo jakżeby inaczej, gdy miał przykłady, że ówczesne władze w Meksyku poczynają sobie nieraz bardzo nieroztropnie i lekkomyślnie. Wziął rewolwer, nóż i wykradł się z oberży.

— Kalkuluję — mruknął do siebie — że pomyszkować nie zawadzi. Szedł wąską uliczką, otoczoną grubymi murami. Były ciemne, niewysokie. Po jednej stronie tworzyły wąski kąt, jeszcze ciemniejszy niż pogrążona w mroku uliczka. Sępi Dziób skradał się bezszelestnym krokiem doświadczonego trapera. W pewnej chwili wydało mu się, że słyszy w owym kącie jakieś szmery.

Podszedł bliżej. Na ziemi coś się poruszyło. Pochylił się trzymając nóż w ręku. Prędko jednak schował go, bo zobaczył półnagięgo mężczyznę, z więzami na rękach i nogach, w dodatku zakneblowanego; obok wałały się jakieś rzeczy. Wyjął mu knebel z ust, ale na wszelki wypadek pozostawił więzy.

— Hej, przyjacielu, kim jesteś?

— Mon Dieu! Co za szczęście, że mogę znów oddychać.

— Co mnie obchodzi pański oddech? Chcę wiedzieć, kim jesteś!

— Francuskim oficerem. Nazywam się Durand.

— Takie bajki może pan opowiadać komu innemu! Oficer nie dałby się tak łatwo napaść i związać.

— Nagle dostałem cios w głowę i straciłem przytomność.

— Oto skutki przytomności w głowie zamiast w pięściach. Nawet rozebrano pana. Po co?

— Skąd mogę wiedzieć? Niech mnie pan rozwiąże, proszę.

— Tylko powoli. Przede wszystkim muszę się zorientować w sytuacji. Tu leży jakieś ubranie.

— To moje.

— E... Czyżby kapitan francuski nie nosił munduru?

— Ależ miałem mundur!

— A tu widzę wysokie, ordynarne buty, płócienne spodnie, starą kurtkę, wełnianą chustkę, zniszczony pasek skórzany i kapelusz, który wygląda jak łeb wielkiego czarnego kocura.

— Do kroćset! To nie moje rzeczy. Należą do tego, co na mnie napadł. Nosił ciemny kapelusz z szerokim rondem.

— A więc to jego ubranie, a on włożył pański mundur. Ale jak do tego doszło?

— Wracając z tertulii, spotkałem człowieka, który zapytał, czy nie jestem kapitanem... Nie pamiętam nazwiska, jakie wymienił. Odpowiedziałem, że nie. A on na to: „I ja nie!” i uderzył mnie tak mocno w głowę, że upadłem straciwszy przytomność.

— Do licha! Tak biją tylko myśliwi. Jego łachmany zresztą mają zapaszek prerii; są twarde i grube, pełne brudu i przepocone. Czyżby ten człowiek był strzelcem z sawanny?

— Nie wiem. Uwolnij mnie z więzów, monsieur, błagam! Sępiemu Dziobowi coś zaświtało w głowie.

— Gdzie na pana napadnięto? — spytał. — Może w pobliżu muru więziennego?

— Tak, niedaleko.

— Otóż to! Na cmentarzu nie schwytaliśmy przecież wartownika. A kto najbardziej nadaje się na wartownika? Człowiek z prerii.

— Nie rozumiem — jęknął oficer.

— To zupełnie nieważne. Dosyć, że ja rozumiem. Niech pan tu poleży spokojnie. Zaraz wracam.

Szybko oddalił się w kierunku więzienia. Zawiedziony oficer zawołał w ślad za nim:

— Na miłość boską, nie zostawiaj pan bezbronnego człowieka! Sępi Dziób udał, że nie słyszy. Biegiem dotarł do więzienia.

Kiedy zadzwonił, wartownik ospałym głosem zapytał:

— Kto tam?

— Sępi Dziób.

— Nie znam pana.

— Nie musisz. Otworzyć!

— Nie wolno mi. W nocy mogę otwierać tylko urzędnikom.

— Byłem tutaj z dwoma aresztowanymi.

— Aha... Ale alkald był z wami.

— Niech to piorun strzeli! W dodatku nie mogę sobie nawet splunąć przez mur! Czy ci aresztowani są w więzieniu?

— Nie, już nie.

— Do stu tysięcy diabłów! Gdzież się podziali?!

— Pewien francuski kapitan zabrał ich.

— Więc jego wpuściliście, co? No, tak! Łotrów się wpuszcza do tej budy, a dla

uczciwych ludzi wstęp wzbroniony! Głupcze! Ten „kapitan” nie jest wcale oficerem, tylko zwyczajnym opryszkiem, oszustem! Nie dziwię się, że wasz cesarz wysłał tutaj takich osłów jak ty! Cóżby począł u siebie z takimi tępakami.

— Hola! — zawołał wartownik, przekręcając klucz w zamku. — Proszę do środka, droga wolna!

— Dziękuję pięknie! Mogę wejść, ponieważ nawymyślałem trochę, co? Oczywiście, mam wejść po to, abyście mnie uwięzili? Nic z tego. Nie taki głupiec ze mnie! Jeżeli macie puste cele, daj się zamknąć za mnie! Polecam się pamięci!

Wartownik wyszedł z bramy, chcąc go złapać, ale Sępi Dziób przepadł już za rogiem ulicy. Po chwili sapał wściekły przy leżącym na ziemi oficerze.

— Nareszcie pan wrócił! — ucieszył się Francuz. — Sądziłem, monsieur, że mnie pan tu zostawi.

— Chciałem się tylko przekonać, czy mówił pan prawdę. I wszystko się zgadza.

— Proszę uwolnić mnie z więzów!

— Na razie, mimo najlepszych chęci, nie mogę. Muszę schwytać tego łotra, z którym pan miał do czynienia. Niech myśli, że leży pan w tym samym miejscu, gdzie pana pozostawił. Napadł na pana jedynie dlatego, że potrzebny mu był mundur. Na pewno wróci, by go oddać. Uwaga! Ktoś nadchodzi... — Wyteńczył słuch. — To kroki trzech mężczyzn, jeden ma chód człowieka z sawanny. A więc ci, na których poluję. Muszę zakneblować panu usta. Udaj, monsieur, że jesteś jeszcze ciągle nieprzytomny, bo znowu mogłoby przydarzyć ci się coś złego.

Zanim oficer zorientował się, miał zakneblowane usta, a traper przeskoczył przez mur i ukrył się za nim. Mógł stąd słyszeć każde słowo.

Idący zatrzymali się. Poszeptali między sobą i jeden z nich podszedł do Francuza.

— Do kroćset, musiałem tym razem mocno uderzyć! — zauważył półgłosem, pochylając się nad oficerem. — Ta szelma ciągle nieprzytomna.

— Może go pan zabił?

— Nie. Oddycha normalnie. Zdejmę mundur i położę obok.

— A więzy?

— Uwolnię go z nich; kiedy wróci mu świadomość, będzie mógł odejść.

— No to rób pan swoje, a my idziemy stąd. Mamy jeszcze coś do załatwienia. Spotkamy się przed gospodą albo w naszym pokoju.

— Dobrze.

Cortejo i Landola oddalili się. Po chwili notariusz zapytał:

— Dlaczego pan skłamał? Przecież dziś nie mamy już nic do roboty.

— Nie domyśla się senior? Chciałem się go po prostu pozbyć.

— Jakże to? Przecież przyjdzie do gospody.

— Ale nas już tam nie zastanie. Musimy natychmiast opuścić miasto.

— To niemożliwe! Nie zrealizowaliśmy jeszcze naszego zadania.

— Plany się pokrzyżowały. To chyba i dla pana jasne. Wrócimy do gospody potajemnie i zabierzemy z pokoju tylko to, co niezbędne. Gdy Grandepriise zobaczy, że są nasze rzeczy, będzie czekał przez kilka dni przekonany, że wrócimy.

— A potem pojedzie do Santa Jaga i tam nas znajdzie — obruszył się Cortejo.

— Do tego czasu wszystko się wyjaśni.

— Jak się tam dostaniemy? Przecież nie możemy iść pieszo.

— Widziałem w pobliżu naszego zajazdu szyla jakiegoś handlarza koni. Kupimy od niego wierzchowce.

— A więc pospieszmy się, musimy odjechać, zanim wróci pański brat.

Do swego pokoju w gospodzie weszli przez okno. Zabrali najpotrzebniejsze drobiazgi i tą samą drogą wydostali się na ulicę. Nikt ich nie widział.

Handlarz już spał. Obudzili go energicznym pukaniem. Powiedzieli mu, że przybyli do stolicy z Queretaro na wynajętych koniach. Ponieważ muszą natychmiast jechać do Puebli, potrzebne im są nowe, silne wierzchowce. Zapłacą dobrze. Handlarz zaprowadził ich do stajni i szybko dobili targu.

W tym czasie Grandepriise zmitrężył dobre kilka minut przy pozornie nieprzytomnym oficerze. Uwolnił go z więzów i knebla, sam rozebrał się z munduru i włożył własne łachy, a Francuza nakrył kurtką i spodniami uniformu. Jeszcze raz sprawdziwszy, że jego ofiara oddycha, poszedł w stronę gospody.

Teraz Sepi Dziób przeskoczył mur i nie zatrzymując się ani na chwilę przy oficerze, pospieszył za oddalającym się nieznajomym, aby, nie zauważony, mógł iść za nim krok w krok, zdjął buty.

Grandepriise zatrzymał się przed gospodą i nerwowo przemierzał ulicę w tą i z powrotem. Przeciagające się czekanie nudziło go widać, bo przelazi przez płot, by wślizgnąć się do budynku tylnym wejściem.

Sepi Dziób, pogrążony w rozmyślaniach, poszedł uliczką do końca i z daleka obserwował gospodę. Noc miała się ku końcowi. Usłyszał, że w jednym z sąsiednich obejść otworzono bramę. Odwrócił się w tamtym kierunku i zobaczył, że wyjechali przez nią dwaj jeźdźcy. W bramie stał jakiś człowiek i żegnał podróżnych:

— Adios, seniores! Szczęśliwej podróży!

— Adios! — odpowiedział jeden z jeźdźców. — Muszę przyznać, że ubiliśmy dobry interes.

Sępi Dziób wyteżył słuch.

— Na Boga! — mruknął. — Ten człowiek ma głos podobny do osobnika, który rozmawiał z owym dziwnym traperem tam pod murem, gdzie leżał rozebrany do gaci oficer. Ale jak to możliwe? Przecież Landola i Cortejo wrócili do gospody. Trzeba to sprawdzić.

Pobiegł do gospody.

— Do stu tysięcy diabłów! — mruczał. — Na tym podłym świecie najlepsi ludzie bywają oszukiwani przez sforę łajdaków.

Zadzwoił do drzwi frontowych. Dopiero na trzeci dzwonek zjawił się stróż. Miał minę zasnęłą i niezadowoloną.

— Kto to dzwoni o tak wczesnej porze?

— Ja — odparł spokojnie Sępi Dziób.

— To widzę. Ale kim pan jest?

— Jestem nietutejszy.

— Od razu poznałem. Czego pan chce?

— Porozmawiać z panem.

— A ja nie mam ochoty. Idę dalej spać!

Usiłował zamknąć bramę, ale Sępi Dziób położył mu rękę na ramieniu i konfidencjonalnie zapytał:

— Chwileczkę, mój drogi. Czy wiesz, co to jest dolar?

— Pięć razy tyle co frank.

— A więc dam ci dwa dolary albo dziesięć franków, jeżeli udzielisz mi informacji.

Podobna gratka nieczęsto trafiała się stróżowi. Spojrzał z niedowierzaniem na rozrzutnego cudzoziemca i powiedział:

— Jeżeli tak, senior, to proszę dać pieniądze!

— O, nie, mój drogi. Naprzód muszę wiedzieć, czy odpowiesz na moje pytania.

— Odpowiem.

— Bardzo mnie to cieszy. Oto dziesięć franków.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął skórzany woreczek i wręczył stróżowi złotą dziesięciofrankówkę.

— Dziękuję, senior! Sen jest każdemu człowiekowi bardzo potrzebny, ale za taki napiwek jestem zawsze do usług. Pytaj, senior!

— Czy dużo gości macie dziś w gospodzie?

— Niewielu. Dziesięciu, może dwunastu.

— Czy znajduje się wśród nich trójka, która zajęła wspólny pokój?

— Nie. Jeden mieszka oddzielnie, a dwóch razem. To senior Antonio Veridante i jego sekretarz. Przybył wprawdzie z nimi jakiś trzeci, ale nie wiem, jak on się nazywa. Ubiera się bardzo skromnie, jak biedny vaquero lub traper.

— Czy ci trzej mężczyźni wyszli wieczorem?

— Tak, o zmroku.

— I wrócili?

— Nie widziałem.

— Chciałbym zamienić z tym traperem czy vaquerem kilka słów. Czy to się da zrobić?

— A wytłumaczy mnie pan, gdy go zbudzę, o ile oczywiście jest w domu?

— Jest w domu. Usprawiedliwię pana. Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie mógłbym porozmawiać z nim bez skrępowania?

— W jego pokoju. Jak mam pana przedstawić?

— Powiedz, że chce z nim mówić don Yelasco d'Alcantara y Porfiro de Rianza y Allende de Salvado y Caranza de Vesta–Vista–Vusta.

Sępi Dziób wyrecytował nazwisko z miną tak wyniosłą, że stróż nie wątpił o jego autentyczności. Odszedł, by spełnić polecenie. Szybko przemierzył podwórze i lekko zastukał do drzwi jednego z pokoi gościnnych. Grandepriise nie spał, wrócił bowiem dopiero przed kilkoma minutami. Leżał ubrany w hamaku.

— Kto tam? — zapytał.

— Służba. Czy mogę wejść?

— Proszę. O co chodzi? — dodał, gdy stróż stanął w progu.

— Senior, ktoś chciałby z panem mówić. To szlachcic wysoko urodzony. Nazywa się don... don... don Alcantara de Velasco... y... y... y... Strasznie długie nazwisko.

— Jestem bardzo ciekaw tej wizyty. Niech wejdzie!

Gdy stróż się oddalił, Grandepriise zapalił światło i sprawdził, czy rewolwer jest naładowany.

Wszedł nieznajomy. Obaj spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Takiego spotkania ani jeden, ani drugi się nie spodziewał.

— Do licha! — zawołał Sępi Dziób. — Grandepriise!

— Do kroćset! Sępi Dziób! Pan tutaj! Jakim cudem pan się znalazł w Meksyku?

Spotkałem przecież seniora z Juarezem i... i...

— Nawet miałem sposobność — przerwał mu Sępi Dziób — obserwować pański odwrót znad Rio del Norte. Nazwisko ma pan całkiem, całkiem, ale kojarzy mi się z czymś obrzydliwym. Znam pewnego nicponia, który tak samo się nazywa.

— Tounds! Zna go pan?

— Nawet bardzo dobrze! Osobiście i ze słyszenia.

— Naprawdę? Od dawna szukam tego łotra!

Sępi Dziób obrzucił go przenikliwym spojrzeniem.

— Hm, hm. I nie znalazł go pan jeszcze?

— Niestety — przyznał ze smutkiem i złością Grandepriise.

— Hm, hm. A ja myślałem, że traperzy mają dobre oczy.

— Zdaje mi się, że mam wzrok nie najgorszy.

— Tak, ale mam wątpliwości, czy umie go pan używać. Grandepriise zasepił się.

— Chce mnie senior obrazić?

— Skądże znowu! Usiądźmy i porozmawiajmy szczerze. Usiadł na krześle, splunął energicznie i odgryzłszy spory kawał prymki, zaczął mówić:

— Niech się pan nie unosi, ale wydaje mi się, że jest pan albo wielkim łotrem, albo głupcem...

Grandepriise zerwał się błyskawicznie z hamaka i wyciągnął rewolwer. Stając przed Sępim Dziobem, zawołał ostrym tonem:

— Do wszystkich diabłów! Jakim prawem pozwala sobie pan na takie obelgi?!

Sępi Dziób ani drgnął, skinął tylko spokojnie głową.

— Rozumiem, że jako myśliwy chciałby pan bronić swego honoru za pomocą kuli. Czy nie można inaczej? Niech pan pomyśli.

— Jestem przekonany, że master nic mi nie udowodni.

— Schowaj pan rewolwer i posłuchaj. Jeżeli okaże się, że nie mam racji, chętnie stanę do walki.

Grandepriise nie schował jednak rewolweru; siadając z ponurą miną w hamaku, położył go obok siebie.

— Mów pan! Ale uważaj na słowa. Jedno za wiele i wpakuję ci kulę w łeb.

— Albo ja — uśmiechnął się Sępi Dziób. — Wydaje się panu, że mnie zna, ale to nieprawda. Mogłem dzisiaj już parokrotnie strzelić do pana. A przecież nie zrobiłem tego. Odpowiedz szczerze: był senior w Veracruz?

— Byłem.

— Tam poznał pan dwóch mężczyzn, seniora Veridante i jego sekretarza? Wczoraj przybyliście razem do Meksyku? Wieczorem zaś strzegł pan bramy cementarnej, podczas gdy tamci dokonali zbeszczeszczenia zwłok i oszustwa?

Grandeprise nie potrafił ukryć zdziwienia i zaskoczenia.

— Skąd pan to wie? — Zapytał. — Tak, pilnowałem bramy, ale o znieważeniu zwłok lub oszustwie nie może być mowy.

— Jest pan przekonany?

— Przysięgam na wszystkie świętości!

— Chcę wierzyć. To przemawiałoby na pańską korzyść, że nie łotr z pana, ale naiwny głupiec.

Widać było, że kolejna zniewaga mocno dotknęła myśliwego. Zanim jednak zdążył się poderwać, Sępi Dziób powiedział łagodnie:

— Tylko spokojnie, nie denerwuj się pan. Mam dowody. Pańscy dwaj towarzysze zostali dzisiaj aresztowani, prawda?

— Niestety.

— Pragnąc ich uwolnić, napadł senior na oficera?

— Do kroćset! Skądże pan i to wie? — Grandeprise przeraził się nie na żarty. — Po prostu fortel traperski, z którego jestem dumny. Mam nadzieję, że jako kolega nie zdradzi mnie pan.

— Nie jestem donosicielem. Nie zazdroszczę również traperskiego fortelu, z którego jest senior taki dumny. Czy może pan powiedzieć, skąd zna tego łotra, Grandeprise'a?

Traper Grandeprise zbladł jak ściana.

— Powszechnie wiadomo, że Sępi Dziób jest uczciwym człowiekiem i dzielnym westmanem. Tylko dlatego znoszę cierpliwie te obelgi. Oświadczam też, że pirat Grandeprise jest moim największym wrogiem. Szukam go od lat, aby się z nim ostatecznie rozprawić.

— Tak, tak — Sępi Dziób uśmiechnął się dobrodusznie. — To zabawne. Szuka go pan, a miał w ręku. Podczas gdy ja wraz z towarzyszami męczyłem się, aby go znaleźć i wsadzić do ciupy, pan mu umożliwił ucieczkę. On zaś wystrychnął pana na dudka.

Pokrótkie opowiedział Grandeprise'owi historię rodu Rodrigandów. W miarę opowiadania twarz myśliwego przeszła wszystkie stany emocji. Słuchał bardzo uważnie. W pewnym momencie jednak nie wytrzymał i wykrzyknął ze złością:

— Na Boga! Uratowałem również Pabla Corteja i jego córkę!

— Co?! — zdumiał się tym razem Sępi Dziób.

— Tak. Teraz rozumiem wszystko! Bez mojej pomocy ślepy Pablo na pewno zginąłby

w rzece czy w lesie, a jego córeczka w więzieniu.

— Musi mi pan to szybko opowiedzieć!

— Oczywiście i to bardzo szczegółowo. Miał pan rację nazywając mnie głupcem!

Sępi Dziób w milczeniu słuchał opowieści Grandepriśa. W pewnym momencie wtrącił:

— Master! Cieszę się bardzo, że odnalazłem pana. Teraz wspólnie na pewno uda nam się odszukać zbiegów. Dowiedz się więc wreszcie, że Antonio Veridante to sam Gasparino Cortejo!

— Nie może być!

— Ależ tak, na niby szuka twego brata. Dziś wieczorem chciał podłożyć nieboszczyka w pustej trumnie. Schwytaliśmy go, a pan i jego uwolnił.

— To nieprawda! — z rozpaczą zaprzeczył Grandepriś.

— Czy wie pan, kto jest sekretarzem Veridantego, a właściwie Gasparina Corteja? To człowiek, którego pan szuka. Enrique Landola, czyli pirat Grandepriś we własnej osobie!

Traper zaniemówił z wrażenia. Zerwał się jak oparzony z hamaka. Zaskoczenie, zdziwienie, wściekłość i zraniona duma na zmianę pojawiały się na jego twarzy.

— Nie wierzę! To niemożliwe! — zawołał wreszcie. — To nie mógł być Enrique!

— A jednak... Po prostu po raz któryś zakpił sobie z seniora. I gdy już został przez nas uwięziony, to pan własnymi rękami go uwolnił. A więc ta żmija w ludzkim ciele w dalszym ciągu będzie zatruwać świat!

Grandepriś był zdenerwowany do granic wytrzymałości. W głowie mu się nie mieściło, jak to się stało, że pirat go oszukał. Głośno też powątpiewał:

— Poznałbym chyba swego przyrodniego brata!

— Co takiego? A więc to aż tak bliskie pokrewieństwo?

— Niestety. Cierpię z tego powodu przez całe życie. Nie, stanowczo zaprzeczam: to nie był on!

— Phi! Czyżby pan nie zauważył, że obydwaj byli ucharakteryzowani?

Myśliwemu wreszcie spadły łuski z oczu.

— Wielki Boże — biadolił — a więc to naprawdę on. Teraz rozumiem, dlaczego momentami zastanawiałem się skąd znam jego głos. Ależ jestem głupcem nad głupcami! Może mnie pan nawet dosadniej nazwać. Zasłużyłem na to.

— No, no — uspokajał go Sępi Dziób, uśmiechając się dobrodusznie. — Świadomość własnych błędów jest pierwszym krokiem do mądrości.

— Ale skutki, skutki! — westchnął Grandepriś. — Pan za to jest chyba

wszechwiedzący. Skąd pan wie na przykład, że byłem na cmentarzu i napadłem na oficera oraz uwolniłem więźniów?

Sępi Dziób, nie chcąc dłużej męczyć Grandeprise'a, powiedział mu wszystko dokładnie.

— Kalkuluję jednak — oświadczył na koniec — że jest pan dzielnym człowiekiem. W dodatku my obaj, jako traperzy, postępujemy zgodnie z prawami prerii i dżungli i nie obchodzą nas jakieś tam ustawy czy kodeksy. Dlatego przekonam naszych towarzyszy, aby przyjęli pana do kompanii. Tym bardziej, że dzięki panu wiemy, iż Corteja i Landoli należy szukać w klasztorze della Barbara w Santa Jaga.

Twarz Grandeprise'a rozjaśniła się.

— Ale co do tego ostatniego zdania — powiedział — to się pan myli. Oni są niedaleko. Nawet bardzo blisko.

— Nie uwierzę, póki się nie przekonam — skrzywił się Sępi Dziób. — A więc, według pana, oni są tu w gospodzie?

— Oczywiście. Możemy zaraz iść do nich.

— Dobrze, więc chodźmy, chociaż przecucie mówi mi coś innego.

Po cichu, ostrożnie, aby nikogo nie zbudzić, przeszli do pokoju zajmowanego przez Corteja i Landolę. Był pusty.

— Muszą wrócić! — upierał się Grandeprise.

— Tak pan sądzi? Toż ostatni głupcy tak by postąpili! A za takich ich nie uważam. Przecież wieść o fałszywym oficerze i zbiegłych więźniach szybko rozejdzie się po mieście i zaraz rozpoczną się poszukiwania. Na pewno już ich nie ma w Meksyku.

— Ależ nie mogli mnie zostawić! Dlaczego nie? Proszę tylko spojrzeć!

Oświetlił latarką podłogę, podniósł coś i podał Grandeprise'owi.

— Co to?

— Nie poznaje pan?

— Błoto. Jeszcze mokre i miękkie.

— No właśnie. Kiedy opuścili gospodę?

— Wieczorem.

— A ta grudka jest świeża, najwyżej sprzed godziny. A więc byli tutaj.

— Do stu tysięcy diabłów! Znów ma pan rację! Ale teraz już mi nie uciekną. Na pewno pojechali do Santa Jaga. Tam ich schwytamy!

— Przedtem jednak pan nie może dać się złapać policji. Dlatego też proszę posłuchać mojej rady i natychmiast wynieść się z gospody.

— Dobrze. Ale dokąd?

— Oczywiście zabiorę pana ze sobą. Stróżowi dałem napiwek, tak że uważa mnie za wielkiego, godnego szacunku seniora. Niech mu pan tylko zapłaci za nocleg i jadło, a spokojnie opuścimy gospodę.

Tak się też stało. Kiedy przechodzili obok domu handlarza końmi, zatrzymali się. Przed bramą stał ten sam człowiek, który zegnał Corteja i Landolę. Domyślając się, że to właściciel, traper zapytał:

— Ma pan dużo koni, senior?

— Tylko cztery.

— Może pan sprzedać jednego?

— Jednego tak. Pozostałe są mi potrzebne. Dzisiaj już sprzedałem dorodną parę dwóm nieznanym z Queretaro. Mówili, że jadą do La Puebli.

— Jak oni wyglądali?

Handlarz był widać gadułą, bo dokładnie opisał kupujących. Teraz już obaj nie mieli wątpliwości, że to Cortejo i Landola. Po krótkim targu Grandeprise kupił konia.

Kiedy dotarli do oberży, w której zatrzymał się Kurt i jego towarzysze, Sępi Dziób obudził porucznika i w paru słowach zrelacjonował, co zaszło. Kurt przychylił się do propozycji tropera, by ukryć przed władzami współudział Grandeprise'a w nocnym incydencie i jak najszybciej wywieźć go z miasta. Ponieważ jednak Kurt był umówiony z von Magnusem i alkaldem, nie mógł jechać natychmiast, postanowiono więc się rozdzielić. Niewiele minut minęło, a Sępi Dziób i Grandeprise galopowali na swych koniach w kierunku Tuli. Tam mieli czekać na Kurta i Petersa, by razem podjąć dalszą pogoń za Landolą i Cortejem. Wszyscy czterej byli pewni, że informacja, którą przekazali ich przeciwnicy handlarzowi koni, iż zamierzają jechać w przeciwną stronę, do La Puebli, była fałszywa.

Wiadomość o tym, co zaszło w nocy, rankiem obiegła całe miasto. Policja rozpoczęła gorączkowe poszukiwania zbiegłych więźniów i zgodnie z przewidywaniami Sępiego Dzioba szybko trafiła na ich ślad w gospodzie. Grandeprise'a uznano podejrzanym za napad na francuskiego oficera i za współudział w ucieczce aresztantów. Podejrzenie padło również na Sępiego Dzioba. Stróż zajazdu zeznał, że o świcie zjawił się jakiś obcy, bogaty mężczyzna i zabrał ze sobą tropera. Podał nazwisko, opisał wygląd. W protokole publicznym zanotowano, że senior Yelasco d'Alcantara, właściciel olbrzymiego nosa, to człowiek poszukiwany i niebezpieczny.

W KLASZTORZE DELLA BARBARA

W kancelarii klasztoru della Barbara w Santa Jaga siedział nad książką doktor Hilario. Była to „Sztuka władania królami” Luigi Regerdisa. Tak się pogрузzył w lekturze, że nie słyszał dwukrotnego pukania do drzwi. Dopiero gdy zapukano po raz trzeci, mocniej już i niecierpliwiej, spojrzął na zegar, zmarszczył czoło i zawołał ściągnawszy brwi:

— Wejść!

Na widok wchodzącego do pokoju niskiego, krępego człowieczka rozchmurzył się i szybko podniósł z krzesła. Pulchna, okrągła twarz gościa świadczyła, że jedzenie sprawia mu przyjemność, małe oczka patrzyły życzliwie i wesoło. Dla bystrego obserwatora jednak było jasne, że pod maską dobroduszości i jowialności kryć się może zupełnie inny, groźny nawet człowiek.

— Witaj, witaj, senior Arrastro! — Hilario wyciągnął do niego obie ręce. — Mówiąc szczerze, nie spodziewałem się pana.

— Przynoszę dobre nowiny.

— Z głównej kwatery Juareza?

— Niechże pan nie żartuje! Czy dobre wieści mogą być z jaskini lwa?!

— A więc z obozu marszałka francuskiego?

— Także nie. Z głównej kwatery cesarskiej.

— Od samego Maksymiliana?

— O, nie! Cesarz jest jak trzcina, która tylko w sprzyjających okolicznościach może rosnać i rozkwitać, lada jednak podmuch wiatru może ją złamać. Przychodzę od przywódcy naszego związku i w jego imieniu chcę panu zadać kilka pytań.

— Jestem do usług. Może napijemy się wina?

— Chętnie.

Hilario otworzył małą szafkę i napełnił dwie szklanki. Tręcili się i podnieśli je do ust. Gość patrzył badawczo na gospodarza. Dopiero gdy ten wychylił połowę, skosztował słodkiego, mocnego napoju. Czyżby nie miał zaufania do Hilario, którego przywitał tak uprzejmie?

Postawili szklanki na stole i usiedli. Grubas odezwał się:

— Można mówić swobodnie? Nikt nas nie podsłuchuje?

— Nikt. Ilekroć mam jakąś wizytę, na straży stoi mój bratanek.

— Chciałbym porozmawiać o polityce, a raczej o pewnej sprawie politycznej...

Wzrok Arrastra padł na otwartą księgę, która leżała na stole. Wziął w rękę, spojrzął na tytuł, przerzucił kilka kartek, potem uśmiechnął się porozumiewawczo:

— Czyta pan to dzieło? Czy wie pan, że w niektórych krajach jest ono na indeksie?

— Oczywiście. Ale zawiera sporo mądrości życiowych. Przyznaję. Sam z przyjemnością je przeczytałem. Co pan sądzi o rozdziale omawiającym sposoby ujarzmania władców?

— Hm... Mam wrażenie, że tutaj autor poszedł za daleko. Arrastro nie odpowiedział od razu.

— We wszystkich nas i w każdym z osobna — rzekł wreszcie — żyje duch Boży, którego powinno się słuchać uważnie. Jedni przyjmują jego naukę i prawa, inni nie. Różnicują się więc postawy i osobowości. Ponieważ źródłem ich jest duch, prawa te są bardziej święte

1 nietykalne niż ustawy stworzone przez prawników. Człowiek to istota ulegająca wpływom ducha Bożego, odpowiedzialna jedynie przed sobą; nie powinna zatem tłumaczyć się ze swych myśli, słów i uczynków. Większość z nas nie dotrze nigdy do krainy wolności, gdzie każdy będzie sędzią i ustawodawcą. Dostać się tam mogą tylko wybrani. Autor książki dowodzi, że jest jednym z nich. Jest to filozofia, podważająca ludzkie prawa, pozwalająca czynić każdemu to, co mu się podoba. Jest to apologia zła, zniszczenia i...

Przerwał. Chciał sprawić na Hilariu wrażenie, że kwestia ta pochłonęła go bez reszty. W rzeczywistości chodziło mu tylko o to, by wysondować doktora. Jego z pozoru dobroduszna twarz przybrała drapieżny wyraz. Jeśli imię określa człowieka, to on był tego przykładem. „Arrastro” bowiem znaczy „stworzenie skradające się” albo inaczej mówiąc „drapieżne zwierzę”. I właśnie jak ono, grubas skradał się do swej ofiary cichymi i podstępными krokami.

— Czy zgadza się pan ze mną? — spytał po chwili. Hilario wzruszył ramionami.

— W ogólnych zarysach tak, w szczegółach nie. Pochlebia mi, że każdy człowiek, a więc i ja, oświecony jest przez ducha. Okoliczność jednak, że oświecenie to bywa różne, zmusza mnie do twierdzenia, że dwie osoby nie mogą mieć nigdy identycznego zdania, a co najwyżej podobne. Chcę więc mieć możliwość samodzielnego myślenia i działania.

Czy Hilario odkrył, że umyślnie sprowadziłem rozmowę na te tory? Czy przeczuwa, że mam względem niego niebezpieczne zamiary? Czy je zgaduje i jest przygotowany do ich odparcia? — Myśli te jak błyskawica przebiegały przez głowę Arrastra. Mrużąc oczy i zagryzając dolną wargę, ciągnął dalej pozornie obojętnym tonem:

— Któż próbuje poskromić pańską indywidualność? Mówi pan, że autor książki

posunął się za daleko. Ja zaś uważam, że to niesłuszny zarzut.

— To mój sąd, a nie zarzut.

— Cieszy mnie to nie tylko ze względu na pana, ale i dlatego, że często musimy postępować w myśl zasad tej książki. Za chwilę przekona się pan o tym. Będzie pan mógł wykazać się wielkim duchem i wspaniałomyślnością, popelniając czyn, który być może zostanie sownie nagrodzony.

— Jestem gotów.

Arrastro ujął szklanekę i rozsiadł się wygodnie na krześle. Pociągając małymi łykami wino, mówił z patosem:

— Zna senior sytuację w naszym kraju, tym samym zdaje sobie sprawę, czego ludzie tych samych poglądów co my mogą oczekiwać. A może pan uważa, że wybawi nas Juarez?

— Skądże znowu!

— Czyżby więc pana zdaniem tym wybawicielem miał być Maksymilian Austriacki?

— Stanowczo nie!

— Zastanówmy się więc, czy jest jeszcze dla nas jakakolwiek szansa. Co pan sądzi o okupacji francuskiej?

— Francuzi będą musieli ustąpić.

— A o cesarstwie?

— Cesarstwo runie, gdy straci podporę Francuzów.

— I co wtedy?

— Juarez przejmie władzę.

— Czego możemy się po nim spodziewać?

— Bezwzględnej zemsty.

— Widzę, że się zgadzamy. Musimy więc postarać się, by do tego nie doszło.

Wszystkie nasze działania muszą zmierzać w tym kierunku.

— Chyba to nam się nie uda — powątpiewał Hilario.

— Dlaczego nie? — Arrastro uśmiechnął się ironicznie.

— Czy możemy powstrzymać Francuzów?

— A po co?

— Juarez też nie zostanie naszym przyjacielem...

— O tym nie ma mowy. Czy słyszał pan, co się mówi o nas? Juarez oświadczył, że jest w kraju partia, którą można by nazwać partią diabła. Nie jest ani republikańska, ani cesarska. W ogóle apolityczna. Tworzy ją garstka ludzi wyzutych spod prawa ludzkiego i boskiego, którzy tak naprawdę odzegnali się od kościoła i tylko dla pozoru wywieszają

sztandar chrześcijaństwa. Z konsekwencją dążą do celu, są bezwzględni, a nawet okrutni.

Hilario milczał przez chwilę. Po twarzy jego przemknął wyraz zadowolenia. Wreszcie powiedział:

— Nie przypuszczałem, że ten Juarez tak dobrze nas zna. Sąd jego niezbyt odbiega od prawdy.

— Więcej nawet; jest całkiem trafny. Stąd wniosek, że nie możemy liczyć na żadne względy, prawo łaski, litość. Jeżeli ten Indianin znowu zostanie prezydentem, czeka nas niechybna zagłada. Dlatego też nie pozostaje nam nic innego jak usunąć Juareza.

Doktor pokręcił głową.

— Gdybyż to miało jakąkolwiek szansę powodzenia! Na ustach grubasa pojawił się szydery uśmiech.

— Na szczęście naszym przywódcą jest Miramon. A on umie słuchać dobrych i mądrych rad.

Hm, mógłbym dać tylko jedną: Juarez musi zginąć.

— Więc naprawdę uważa pan jego śmierć za jedyne wyjście? To pożałowania godna krótkowzroczność! Gdy Juarez zginie, zjawią się inni, aby kontynuować jego dzieło. Moim zdaniem, jedynym wyjściem jest nie fizyczne zabicie Juareza, ale jego idei.

Hilario, choć bystry i inteligentny, nie zrozumiał o co idzie gościowi, a co gorsza nie usiłował tego ukryć.

— Mówi pan zbyt zagadkowo — powiedział.

— W takim razie jeszcze raz wyrażam ubolewanie. Powtarzam: Juarez musi pozostać przy życiu, nie wolno go tknąć nawet palcem. Ale jego idea zginie. Nadejdzie chwila, że to, co stanowiło chlubę jego życia, stanie się zgubą. I, co najważniejsze, potępią go wszyscy.

— Czuję, że ma pan określony plan, nie mogę jednak odgadnąć jaki.

— A więc go streszczę. Cesarz Maksymilian to nieszczęsny pocziwiec. Popęłił błąd wierząc, że jest mężem opatrnościowym Meksyku. Nie można jednak zaprzeczyć, że cieszy się sympatią całego świata. Powinien abdykować, ale to nie leży w naszym interesie. Musi go spotkać los znacznie gorszy. Zostanie zamordowany przez... Juareza.

— Do licha! Wtedy Indianin będzie istotnie zgubiony, cały świat opowie się przeciwko niemu! I tak się skończy jego kariera!

— No właśnie. A potem? Kiedy nie stanie ani Napoleona, ani Basaine'a, ani Austriaka, ani Juareza, kto pozostanie w tej grze? My, tylko my!

— Nigdy jednak do tego nie dojdzie... Nie znajdziemy człowieka, który skłoniłby Juareza do zabicia cesarza. Juarez nie splami się krwią Maksymiliana.

— Och, znam kogoś, kto może i powinien do tego doprowadzić. Człowiekiem tym jest pan, doktor Hilario z Santa Jaga.

Trudno opisać wyraz twarzy doktora. Dawno już nie był tak przerażony.

— Do kroćset diabłów! Jak miałbym to zrobić?!

— Nic panu nie przychodzi do głowy? Tyle jest sposobów...

— Widzę tylko jeden: śmierć skrytobójczą.

— Nie chcemy tego. Czy zna pan dekret cesarski, w myśl którego każdy patriota jest zbrodniarzem i podlega karze śmierci?

— Oczywiście, że znam dekret.

— A więc jeśli ten, kto go wydał, wpadnie w ręce republikanów...

— Ach, rozumiem! Będą musieli skazać go na śmierć. Wet za wet. Gdyby Juarez go ułaskawił, naraziłby się swoim stronnikom.

— Nareszcie zaczyna pan pojmować. Musimy więc dołożyć wszelkich starań, by Maksymilian został jeńcem republikanów.

— Ale jak do tego doprowadzić? Przecież Francuzi niedługo opuszczą Meksyk. A jeśli Napoleon nie chce narazić się opinii świata, musi umożliwić Maksymilianowi bezpieczny stąd wyjazd pod ochroną swych wojsk.

— To prawda. Cesarz jednak może się uprzeć i pozostanie tu...

— Przecież to byłoby szaleństwo!

— Bez wątpienia. Czyż jednak nie dowiódł, że zależało mu na władaniu tym krajem? A w dodatku to człowiek naiwny i marzyciel. Podsuńcie mu atrapę korony, a będzie wierzył, że jest z prawdziwego złota. Dwóch ludzi wystarczy, aby go przekonać, że nie powinien wyjeżdżać z Meksyku. Jednego już mamy, drugim będzie pan.

— Ja? W charakterze doradcy cesarza? To przerasta moje możliwości! Jakich użyję argumentów?

— Dostarczymy panu wszystkich. Niech pan tylko skrupulatnie wykona nasze polecenia.

— Nie uwierzy mi...

— Pan go nie zna, ale my tak.

— Jest jeszcze jedna niebagatelna rzecz. Nie mogę teraz udać się do Maksymiliana. W Santa Jaga zatrzymują mnie ważne sprawy, nawet pewne zobowiązania...

— Wystaw pan rachunek, my go wyrównamy.

— Ale ja naprawdę nie nadaję się do tego zadania!

— Jest pan w całkowitym błędzie. My uważamy, że wykona je pan znakomicie.

Hilario oczywiście kłamał twierdząc, że się nie nadaje. Bronił się przed misją wyłącznie z powodu więźniów trzymany w piwnicy. Kto będzie ich pilnował po jego wyjeździe? Powiedział więc:

— Mylicie się. Ja chyba znam siebie najlepiej. Proszę zrezygnować z mojej osoby. Są inni, którzy bardziej zasługują na to wyróżnienie.

— Ci inni mają już swoje zadania. Dość już zresztą dyskusji. To rozkaz, doktorze. Najpóźniej za dziesięć dni ma pan być w stolicy.

— Przecież Maksymilian przebywa w Cuernavacca.

— Zaprosi pana do Meksyku. Jak pan widzi, wszystko jest przygotowane.

— Mimo to ponownie odmawiam.

Arrastro wstał. Na jego twarzy pojawił się złowrogi wyraz. Oстрым wzrokiem zmierzył Hilaria od stóp do głów.

— Naprawdę? Mimo rozkazu?

— Okoliczności zmuszają mnie do tego.

— Zna pan zasady obowiązujące w naszym związku?

— Oczywiście.

— Czyżby więc zapomniał pan o karach? W tym o karze śmierci? Hilario zbladł i oparł się o ścianę.

— Kto ma prawo mi ją wymierzyć? — wykrztusił. — Nie uznaję jej!

— Phi! Uznał ją pan wstępując do związku.

— Byłoby to okrucieństwem, czynem nieludzkim! Arrastro popatrzył na niego spod łba.

— Okrucieństwo? Czyn nieludzki? I to pan ośmiela się używać tych słów? Śmiechu warte! Czy jest człowiek bardziej okrutny i bezwzględny od pana?

Doktor zbliżył się do niego o krok.

— Co też pan mówi? Co wy o mnie wiecie?

— Jeżeli nie wszystko, to bardzo wiele. Nie przypuszcza pan chyba, że nie zebraliśmy informacji o naszych członkach? Znamy swoich ludzi lepiej niż oni siebie samych. I powtarzam: za niewykonanie rozkazu jest tylko jedna kara — śmierć. A więc?...

— Niech mi pan da czas do namysłu...

— Jeszcze senior nie zrozumiał, że obowiązuje pana takie samo ślepe prawo i bezwzględne posłuszeństwo, jak każdego innego członka związku? I dodani, że niekiedy, przed egzekucją, skazany zostaje poddany torturom. Z pewnością i pana nie ominęłyby one.

Doktora przeszył zimny dreszcz.

— Co więc mam robić? — wyjąkał wreszcie.

— Zaraz to panu powiem. Ale naprzód pytanie: Czy istnieje trucizna zabijająca, jeśli można tak to określić, umysł człowieka?

Hilario udał, że się zastanawia.

— Tak. To kurara — odpowiedział po chwili. — Paraliżuje pewne komórki mózgowie. Ten, któremu się ją zaaplikuje, ma jednak dokładną świadomość tego, co się z nim dzieje; reaguje na każdą zmianę temperatury, na najsłabsze ukłucie igłą. Z czasem, w zależności od dawki, albo wpada w całkowity obłąd, albo umiera.

— A nie słyszał pan przypadkiem o toloadzi, pospolitej, ale trującej roślinie? Podobno działa niemal zupełnie tak, jak wilcze ziele. Kilka kropel soku wyciśniętego z jej łądźki, bez smaku i zapachu, powoduje nieuchronnie obłąd, pod względem fizycznym natomiast chory jest okazem zdrowia i może żyć długie lata. Mówi się, że tą trucizną unieszkodliwiono niejednego polityka, konkurenta w walce o władzę, a także kilka koronowanych głów.

— Nie znam tej rośliny i nic o tych przypadkach nie słyszałem

— powiedział Hilario obojętnym tonem, ale Arrastro zauważył, że głos doktora lekko zdrzął.

— Opowiadają na przykład o cesarzowej, imienia nie wymienię

— ciągnął dalej grubas — której lud nie znosił, bo i ona, i jej mąż zostali mu narzuceni. Pewnego dnia do klasztoru, w którym mieszkał stary lekarz, cieszący się sławą znawcy toloadzi, przybyli dwaj mężczyźni.

W tym momencie Hilario zakaszłał.

— Jest pan chory? — zapytał Arrastro z fałszywą troską w głosie.

— Może zażyłby pan jakieś lekarstwo?

— Nic mi nie trzeba — burknął doktor.

— No to opowiadam dalej. Otóż ci mężczyźni zażądali od owego lekarza, by dał im truciznę, która wywołuje obłąd. Nie ukrywali, że jest przeznaczona dla cesarzowej. No i otrzymali ją, oczywiście po zapłaceniu pewnej sumy, której wysokość jest mi także znana.

— To czysty wytwór fantazji! — czoło Hilario pokrył obfity pot.

— O, nie! Szczera prawda. Cesarzowa została otruta. Toloadzi działała powoli. Cesarzowa odbywała jeszcze daleką podróż. Odwiedziła władcę innego państwa, któremu zawdzięczała koronę. Wkrótce potem straciła zmysły.

— Może ta podróż była przyczyną jej choroby?

— Tak mówiono, ale to właśnie bajeczka. Wtajemniczeni znają fakty. Nie wie pan przypadkiem, kim są ci wtajemniczeni?

— Nie.

— To kilku przywódców naszego związku. I ja jestem w tym gronie. Domyśla się pan, o jakiej cesarzowej mówiłem?

— Tak — wykrztusił doktor.

— A kto przygotował truciznę?

— Tego nie wiem.

— Dziwne! Nie przypomina sobie pan flaszeczki z czarnego szkła...

Hilario zbladł jeszcze bardziej.

— Truciznę zamówiono w poniedziałek, a w piątek przywiózł ją seniorowi Ri...

— Na miłość boską! — przerwał Hilario, podnosząc rękę.

— Co się stało?

— Nie mogę tego słuchać!

— Przecież pan jest lekarzem i powinien mieć mocne nerwy.

— Mimo to słabo mi się zrobiło.

— Wyobrażam sobie — roześmiał się Arrastro — co czułby teraz sprawca tej zbrodni!

Władze, poznawszy jego nazwisko, też chyba by go nie oszczędzały...

— Czy są dowody?

— Oczywiście. Ale odbiegliśmy od tematu. O czymże to była mowa?

Doktor otarł pot z czoła i wyjąkał:

— O rozkazie...

— No, racja! I cóż? Czy zrozumiał go pan i wykona?

— Tak — syknął Hilario przez zaciśnięte zęby.

— Doskonale! Jestem z pana zadowolony. Nie będziemy więcej mówić o toloadzi i obłąkanej cesarzowej. Mam nadzieję, że nie będę zmuszony do odgrzebywania tej sprawy. W ogólnych zarysach poznał pan zadanie, które seniorowi przypadło w udziale, szczegółowe instrukcje otrzyma pan w stolicy. Chciałbym jeszcze porozmawiać o kilku sprawach. Czy sądzi pan, że Juarez ma do cesarza jakąś osobistą urazę?

— Nie.

— Ja również tak uważani. Zresztą to nie tylko moje zdanie. Juarez będzie się starał ochraniać cesarza. Prowadzi z nim nawet podobno potajemne rozmowy, aby go uratować.

— Czy na dworze Maksymiliana są agenci Juareza?

— Tylko jeden. Kobieta, i to bardzo niebezpieczna. Piękna i sprytna, jakby stworzona do roli tajnego agenta. My przejrzelśmy ją na wskroś, ale inni w najmniejszym stopniu jej nie podejrzewają. To entuzjastyczna zwolenniczka Juareza, potrafiła jednak przekonać

Francuzów, że sprzyja im bez reszty.

— Znałem i ja podobną kobietę.

— Ta, o której mowa, wywiodła w pole Francuzów i wydała Juarezowi Chihuahua.

— Do kroćset! — krzyknął Hilario. — Czy ma na imię Emilia?

— Tak. Nazywają ją seniorką Emilią. Czy to ta sama?

— Bez wątpienia. Gdzie jest teraz?

— W Cuernavacca.

— Czyżby miała dostęp do cesarza?

— Nie. Ale pertraktuje z jego otoczeniem.

— Czy mam z nią wejść w kontakt?

— Oczywiście. No i podjąć z nią walkę. Ona uczyni wszystko, aby skłonić cesarza do szybkiego wyjazdu z Meksyku. Pan zaś będzie musiał dołożyć wszelkich starań, aby go zatrzymać.

Stosunek Hilaria do całej sprawy zmienił się całkowicie. Sprawiała to perspektywa spotkania z Emilią. Ochłonął nawet z wrażenia wywołanego opowiadaniem o obłąkanej cesarzowej.

Spiskowcy rozstali się niemal jak przyjaciele. Grubas dosiadł konia i powoli zaczął zjeżdżać z klasztornej góry. U jej podnóża spotkał dwóch jeźdźców. Konie mieli zmęczone, wyczerpane podróżą. Zatrzymali się. Jeden zapytał:

— Powiedz, senior, czy to miasteczko nazywa się Santa Jaga, a górujące nad nim zabudowania należą do klasztoru della Barbara?

— Tak.

— Zna pan klasztor? Czy mieszka w nim niejaki doktor Hilario?

— Oczywiście — Arrastro obrzucił obu mężczyzn badawczym spojrzeniem. — Udajecie się do niego? Jest teraz w swoim pokoju. Brama klasztorna jest otwarta. To dobry lekarz. Jesteście chorzy?

— Nie. Skąd to przypuszczenie?

— Stąd, że łuszczy się wam skóra na twarzach i macie strasznie dużo zmarszczek. Nie powinniście się pokazywać publicznie, można by pomyśleć, że to nie choroba, a skutki jakichś zabiegów. A Dios!

Ruszył w dalszą drogę, mrużąc do siebie:

— Te łotry ucharakteryzowały się. Coś mi mówi, że ten stary łajdak prowadzi z nimi jakieś interesy, o których nic nam nie wiadomo. Już my go od tego odzwyczaimy!

Obaj jeźdźcy natomiast nie ruszyli się z miejsca, tylko patrzyli za odjeżdżającym.

Landola wyraźnie zmarkotniał.

— Ten człowiek nas przejrzał — powiedział po chwili.

— A może rzucił te słowa ot, tak sobie, bo to widać zgryźliwy staruch — Cortejo był lepszej myśli.

— Chyba ma pan rację. Wprawdzie pański makijaż trochę się rozmazał, ale trzeba się dobrze wpatrzeć, by to zauważyć.

— U pana to samo. Musimy jednak mieć się na baczności.

— Teraz przede wszystkim trzeba się dostać do klasztoru!

Brama była otwarta, tak jak poinformował ich grubas. Wjechawszy więc na dziedziniec, zapytali pierwszego spotkanego człowieka, chyba kogoś ze służby, o doktora. W pobliżu przechodził akurat bratanek Hilaria, Manfredo, i zaproponował, że zaprowadzi ich do stryja.

Doktor siedział w swoim pokoju, pogrążony w rozmyślaniach nad wykonaniem zadania, które mu zleciła organizacja. Kiedy Manfredo zaanonsował przybyłych, spojrzął na nich uważnie.

— Kim jesteście, seniores? — spytał zaintrygowany.

— Dowie się pan później — odparł Cortejo. — A teraz proszę powiedzieć: czy nazwisko Cortejo jest panu znane?

— A co to pana obchodzi?

— Nie mogę wyjawić, póki nie otrzymam odpowiedzi. Doktor chwilę się wahał.

— Znam to nazwisko, ale...

— A osobę? — przerwał Cortejo.

— Nie.

— To dziwne. Hilario ściągnął brwi.

— Zachowanie panów, senior, jest co najmniej niegrzeczne. Przesłuchujecie mnie w moim własnym domu, jak gdybym ja był przestępcą, a wy sędziami. Jakim prawem? Zrozumiałe więc chyba, że zachowuję wobec was rezerwę. W dodatku zjawiliście się tu ucharakteryzowani.

— My ucharakteryzowani? Co pan plecie!

— Ach, senior, mimo podeszłego wieku mam dobry wzrok! Nierozważna to rzecz zostawiać szminkę i puder zbyt długo na skórze. Trzeba twarz od czasu do czasu zmywać i dopiero na czystą ponownie nakładać makijaż. Człowiek się poci, broda rośnie i w rezultacie widać wszystko. Bądźcie łaskawi usunąć makijaż, potem porozmawiamy.

Wsunął Cortejowi gąbkę i wskazał na umywalnię.

— Myli się pan! — krzyknął Landola i tupnął nogą.

Hilario wyjął z szuflady biurka jakiś przedmiot. Potem podszedł do drzwi i zasłoniwszy je sobą, rzekł:

— Nie powinniście się dziwić, seniores, mojemu zachowaniu. I was na moim miejscu zaniepokoiłaby wizyta ucharakteryzowanych mężczyzn. Jeśli się umyjecie, potraktuję to jako zwykły żart. Ale gdy tego nie zrobicie, potraktuję was jako niebezpiecznych zbirów i będę zmuszony was unieszkodliwić.

— W jaki sposób?! — krzyknął Landola.

— A w taki! — Hilario wyciągnął rękę, w której trzymał rewolwer. Drugą dłoń położył na dzwonku. — Jeżeli się będziecie opierać, wezwę pomoc!

— Do stu tysięcy diabłów! Przecież i my mamy broń!

— Zanim ją wyciągniecie, strzełę. Landola zacisnął pięści i syknął:

— Niech się dzieje, co chce!

Posłusznie podszedł do umywalni, a za nim Cortejo. Podczas gdy się myli, doktor dokładnie obserwował tego ostatniego. Po chwili na jego ustach pojawił się uśmiezek: już wiedział, kim są ci dwaj.

Landola i Cortejo, zmywszy makijaż, stanęli przed Hilariem.

— No — rzekł Landola opryskliwym tonem — jest pan zadowolony?

— Tak, seniores, dziękuję uprzejmie.

— Obawiał się pan...

— O nie, byłem tylko ostrożny — przerwał Hilario. — Czy może mi pan teraz podać swoje nazwisko?

— Jestem Bartholomeo Diaz, hacjender z okolicy Parsedillo.

— A ten drugi pan?

— To Miguel Lifetta, adwokat — kłamał bez zająknięcia pirat. — Szukamy niejakiego Pabla Corteja, z którym mam poważnie na pieńku. Senior Miguel towarzyszy mi jako prawnik i mój doradca.

— Dlaczego zmieniliście wygląd?

— Ponieważ nie chcieliśmy, aby Cortejo nas rozpoznał. Jako obcym mógłby nam wyjawiać pewne sprawy, które stanowiąby podstawę do ujęcia go i wytoczenia mu procesu.

— Ho, ho, jesteście bardzo sprytni! Co wcale nie znaczy, że inni nie są sprytniejsi od was. Do tych innych zaliczyłbym przede wszystkim siebie. Pan, na przykład, senior, podałeś się za hacjendera. Nie wierzę. Hacjendero wygląda zupełnie inaczej. Ponadto zdradzają pana oczy.

— Moje oczy?! To śmiechu warte! Co pan może z nich wyczytać?

— Ano mogę — ciągnął spokojnie Hilario. — Ma pan spojrzenie niezwykle przenikliwe. Takie miewają tylko traperzy i marynarze. Przysięgłbym, że jest pan marynarzem.

— Myli się senior.

— Zobaczymy. Powiedział pan, że pochodzi z okolicy Parsedillo. Przypadkowo znam to miasto i pobliskie posiadłości. Nie ma tam hacjendera Bartholomea Diaza. Zapewne coś się panu pomyliło. A może pańska hacjenda leży na odludnej wyspie pośród Oceanu Spokojnego?

Landola zaskoczony, nie stracił kontenansu.

— Do czego pan pije?! — wykrzyknął.

— Po prostu seniora poznałem. Pan jest Enrique Landola, a rzekomy Lifetta to Gasparino Cortejo.

Poculi się w pułapce, ale jeszcze nie dawali za wygraną.

— To oburzające! — zawołał Cortejo. — W tym, co pan mówi, nie ma słowa prawdy...

— Jeszcze pan tego pożałuje — dodał Landola. Doktor uśmiechnął się.

— Nie wyobrażajcie sobie, seniores, że mnie oszukacie i zastraszyacie. Zaraz wam udowodnię, że się nie mylę.

Z małej szufladki biurka wyciągnął jakąś fotografię i im pokazał. Ku satysfakcji Hilaria nie umieli ukryć przerażenia, ale jeszcze nie kapitulowali.

— Do pioruna! — zawołał Landola. — Nie znam tego człowieka!

— Ani ja! — dodał Cortejo.

— Naprawdę?

— No — wyjąkał Cortejo. — Może jest trochę do mnie podobny, ale...

— Tylko trochę?

— W każdym razie to nie ja.

— Nie mamy więc o czym mówić. Jest to fotografia Gasparina Corteja z Manresy czy z Rodrigandy. Ponieważ jednak nastąpiła pomyłka, proponuję rozstać się w zgodzie. A Dios, seniores!

Schował fotografię do szuflady i zamknął starannie biurko. Landola i Cortejo spojrzeli po sobie bezradnie.

— Chwileczkę, senior! — poprosił Cortejo. — Czy może mi pan odpowiedzieć na jedno pytanie?

— Nie mamy już sobie nic do powiedzenia!

— A jednak... Do kogo należy ta fotografia?

— Do mnie. Otrzymałem ją kiedyś od pewnego pacjenta. Miał na imię Mariano.

Landola zmienił się na twarzy.

— Mariano?! — krzyknął. — A nazwisko?!

— Ten młodzieniec przeszedł dziwne koleje losu. To rodowity Hiszpan, ale używał nazwiska de Lautreville.

— Jak go pan poznał?

— Pewien kolega prosił mnie, bym się nim zajął.

— Lekarz?

— Tak, doktor Sternau, Niemiec.

— Nie może być! — tym razem Cortejo aż poczerwieniał z wrażenia. — Zna go pan może?

— Słyszałem o nim jako o...

Nie dokończył zdania, bo Landola ścisnął go mocno za ramię i syknął, obrzucając Hilaria nienawistnym spojrzeniem:

— Ani słowa więcej! — Tu zwrócił się do Corteja: — Czyż nie widzi pan, że on bawi się nami jak kot z myszą?!

Doktor uśmiechnął się ironicznie.

— Powiada senior, że się wami bawię? A więc zamieniliśmy się rolami. Przecież to wy chcieliście zabawić się moim kosztem! Czy ta maskarada, fałszywe nazwiska i rzekoma nieznajomość osób, o których tu była mowa, nie są dowodem, że usiłowaliście zakpić ze mnie?

— Nieprawda! Musieliśmy tylko zachować ostrożność!

— Dość tego krętactwa! Pytam po raz ostatni: czy senior jest kapitanem Landolą?

— Do stu tysięcy diabłów! Już mi wszystko jedno! Tak! Jestem Enrique Landolą!

— Doskonale! Pan zaś to Gasparino Cortejo?

— Tak!

— Nareszcie! Wyjaśnijcie mi więc, proszę, co was sprowadza do Meksyku.

— Przecież pan wszystko wie! — pienił się Landolą. — Tylko kto, na litość boską, powiedział to panu?!

Uderzył pięścią w stół. Doktor zmarszczył brwi.

— Wypraszam sobie te krzyki. Jeśli chcecie dowiedzieć się czegoś ode mnie, musicie zachowywać się przyzwoicie. Zapamiętajcie to sobie! A teraz usiądźcie, porozmawiamy

spokojnie. Naprzód kilka pytań. Pierwsze: kto was do mnie przysłał?

— Traper Grandepriise — odparł Landola.

— Gdzieżeście go spotkali?

— W Veracruz, u naszego agenta Gonsalvy Verdilla.

— Gdzie on jest teraz?

— W stolicy.

— Co tam robi?

— Różne łajdactwa, z powodu których kark złamie. Popelnił pan głupstwo, zawierając temu człowiekowi. Ani uczciwy, ani pewny.

— Czy uważa senior, że jest mniej uczciwy od pirata?

— Do stu piorunów! — wrzasnął Landola. — Sądzi pan, że pirat musi być kanalią? O nie, pirat ma swoje zasady!

— A Grandepriise nie? Oszukał was? Zdradził?

— Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Nic właściwie o panu nie wiemy.

— Nazywają mnie doktorem Hilariem.

— To za mało, by panu ufać.

— O tym łatwo możecie się przekonać.

— No więc: senior jest naszym przyjacielem czy wrogiem?

— Jasne, że przyjacielem! Czyż wróg mógłby znać wasze wszystkie tajemnice?

Obaj potrząsnęli głowami z niedowierzaniem.

— Niech więc pan mówi. Słuchamy!

— Otóż — zaczął doktor z przebiegłym uśmieszkiem — niejaka Maria Hermoyes i niejaki Pablo Arbellez mieli pod swoją opieką małego chłopczyka. Dziecko to zamieniono w Barcelonie na syna pewnego małżeństwa: Gasparina i Clarisy Cortejów...

— Do licha! Skąd pan o tym wie? — nie wytrzymał Cortejo.

— Niech pan nie przerywa! Odtąd hrabia Fernando wychowywał w Meksyku fałszywego Alfonsa... Ale co tu dużo gadać! Znam wszystkie wasze łajdactwa! I historię rzekomej śmierci hrabiego Fernanda, i jego przeżycia w Hararze... Dokładnie mógłbym zrelacjonować udział Sternaua w tych wydarzeniach, wszczęte przez niego poszukiwania, małżeństwo z Rosetą, a potem zaginięcie doktora i jego towarzyszy na długie lata. Wiem, jak się odbyła wspaniała podróż na wyspę i że skazańców uratował kapitan Wagner...

Tego było już za dużo nawet dla takich twardzieli jak Cortejo i Landolą. Obaj mienili się na twarzy. A Hilario triumfował.

— A więc przyznajecie, łotry, że to prawda?

— Tak.

— Wasze szczęście, że to ja zostałem wtajemniczony w te sprawy! Tym bardziej że moimi informatorami byli senior Pablo i seniorita Josefa!

— Niemożliwe! Jak doszło do spotkania pana z nimi?!

— Wiecie chyba dobrze, że prowadzili niebezpieczną grę polityczną. Skazano ich na banicję. Ale nie wyjechali z kraju i poszukali bezpiecznego schronienia...

— Znaleźli je?

— Tak. U mnie.

— Chwała Bogu! — westchnął z ulgą notariusz. — Są tutaj?

— Oczywiście.

— Spadł mi kamień z serca. Czy mogę ich zobaczyć?

— Rozumie się.

— A więc sprowadź ich pan jak najszybciej!

— Spokojnie, panowie. Nie mogą tu przyjść. Sądzicie, że sam mieszkam w klasztorze? Nikt nie powinien się domyślać, że oni są tutaj. Tylko ja ich widuję.

— Gdzie więc pan ich ukrył?

— W podziemiach.

— Do diabła!

— Nie było innej rady, seniores. Zresztą, zapewniałem im dobre warunki. Mają tam wszystkiego pod dostatkiem, także nudów — roześmiał się.

— Już my ich rozruszamy! Ale powiedz, senior, jak do tego doszło, że Pablo i Josefa wyjawili panu nasze tajemnice?

— To zupełnie proste. Bratanek mój należał do stronników Corteja. Uratował Josefę od śmierci, a potem pomógł im w ucieczce i sprowadził tutaj. Nim zdecydowałem się ich ukryć, musieli mi oczywiście wyjaśnić przed kim i dlaczego uciekają.

— Kto ich ścigał?

— Przeciwnicy polityczni, a więc zarówno zwolennicy Juareza jak i Maksymiliana oraz Francuzów. Przede wszystkim jednak — i tych trzeba uznać za najbardziej niebezpiecznych — grupa ludzi, których nazwałbym osobistymi wrogami: Sternau, Mariano, Bawole Czoło, Niedźwiedzie Serce i ich przyjaciele. Brat pana zwierzył się ze wszystkiego. I nie pożałuje tego.

— Oby tak się stało! W każdym razie dziękuję panu. — Cortejo wyciągnął rękę do doktora. — Może senior być pewny, że nie tylko w słowach postaramy się okazać naszą wdzięczność.

Na to jeszcze czas — pomyślał Landola, a głośno spytał zwracając się do Hilaria:

— Jeśli pan wie wszystko, to pewnie i to, gdzie obecnie przebywa Sternau i jego towarzysze.

Hilario potaknął głową.

— Och niedaleko stąd.

— W głównej kwaterze Juareza?

— Nie, w mojej.

— W pańskiej? Nie mówi pan chyba o klasztorze?

— Ależ tak!

— Co?! — Cortejo zerwał się z miejsca. — Są tutaj?

— Oczywiście.

— Pan ich schwytał?

— A któżby inny?

— Dzięki, stokrotne dzięki szatanowi! Jak pan tego dokonał? Hilario z dumą w głosie pokrótce streścił.

— Wspaniale! — zachwycił się Cortejo. — A więc możemy zejść na dół i zobaczyć ich?

— Rzecz jasna, senior. Kiedy przywitacie się z Pablem i Josefa, będziecie mogli zobaczyć moich jeńców.

— Ach, to dopiero będzie satysfakcja! Już widzę ich miny na nasz widok.

— Na pewno bardzo się ucieszą — szydził doktor.

— Więc powiedz, senior, kto tam jest na dole?

Hilario po kolei wymienił więźniów. Małego Andre, ponieważ go nie znali, opisał dokładniej. Landola zamyślił się.

— Niestety, senior — odezwał się po chwili — to nie wszyscy, którzy muszą zginąć. Ani jeden świadek nie może zostać żywy. Ludzie, którzy zostali wciągnięci w tą sprawę przez Sternaua, Mariana, hrabiego Fernanda czy kogokolwiek z ich otoczenia, są również niebezpieczni jak pana jeńcy.

— Racja! — potwierdził Cortejo.

— Kto to są ci wszyscy? — zapytał doktor.

— A więc — zaczął wyliczać Landola — przede wszystkim Emma i Karia, które były na wyspie. Potem Pedro Arbellez i Maria Hermoyes. A także ci mieszkańcy fortu Guadalupe, którzy znają tajemnicę. Ale to jeszcze nie koniec. Musi ponieść konsekwencje człowiek, na którym pan się nie poznał...

— Grandeprise?

— Tak.

— Ależ on o niczym nie wie!

— Był jednak z nami, przejrzał nasze plany i zdradził. Landola kłamał jak z nut, aby w oczach Hilaria maksymalnie pograżyć przyrodniego brata.

— Zdradził? — nie dowierzał doktor. — W jaki sposób?

— Niech pan posłucha. W Niemczech mieszkają osoby, które, zdaje się, wiedzą wszystko...

— No tak. Hrabianka Roseta i krewni Sternaua oraz sternika Ungera.

— Właśnie. Otóż nie tylko wiedzą, ale zaczęli działać. Już od pewnego czasu jest w Ameryce syn tego sternika. Przybył tu z człowiekiem, zwanym Sępim Dziobem, i jeszcze z jakimś mężczyzną. Wpadli na nasz ślad i zaczęli nam deptać po piętach.

Chcieliśmy podłożyć nieboszczyka do pustej trumny, w której rzekomo spoczywały od lat zwłoki hrabiego Rodrigandy. Potrzebowaliśmy kogoś do pomocy, no i zaufaliśmy Grandeprise'owi...

— Co za nieostrożność! — zachnął się Hilario.

— Teraz łatwo to panu mówić. Grandeprise zdradził nas z Ungerem. Porozumieli się z policją, zrobili zasadzkę w grobowcu i nakryli nas na gorącym uczynku.

— To chyba cud, że was tu oglądam!

— No, jakoś udało nam się uciec. Ale cała stolica wie o tym, co zaszło. A te przekłete łotry, Unger i jego kompani, na pewno tu dotrą, i to wkrótce.

— Skąd mogą wiedzieć, że udaliście się do klasztoru?

— Jak to skąd? Grandeprise ma długi język!

— To istotnie nieprzewidziana komplikacja. Mogę się znaleźć w kłopotliwej sytuacji. Trzeba więc ich sprzątnąć, gdy tylko tu się zjawią.

— Cieszę się, że tak pan uważa. Ale zapomnieliśmy jeszcze o kimś. O tym przeklętym sir Drydenie!

— To ten Anglik? Przedstawiciel swego rządu?

— Tak. Czy wie pan, gdzie on teraz jest? — zapytał Cortejo.

— Zapewne z Juarezem.

— Z nim więc rozprawimy się później. Najważniejsza rzecz to zniszczenie tego gniazda os, czyli hacjendy del Erina.

— Nielatwa sprawa — westchnął doktor. — Hacjenda jest bardzo rozległa, do tego budynki murowane.

— Co pan proponuje?

— Mam pomysł — wtrącił Cortejo. — Przecież senior jest lekarzem...

— Jaki to ma związek z hacjendą?

— Nawet duży. Umie pan przecież przyrządzać rozmaite medykamenty... Wiecie, jak się przygotowuje posiłki w takiej hacjendzie? Dla każdego coś innego według upodobania.

Hilario zorientował się natychmiast, co Cortejo ma na myśli.

— Państwo jadają na ogół co innego niż vaquerzy i służba — dopowiedział — ale wodę do gotowania czerpie się z jednego wielkiego kotła, stojącego na piecu albo też zawieszono na łańcuchu nad paleniskiem.

— Więc mój plan ma tym bardziej szansę powodzenia! Chodzi tylko o to, aby ktoś pojechał do hacjendy i wrzucił truciznę do tego kotła.

Cortejo i Landola spojrzeli na doktora wzrokiem pełnym oczekiwania, on zaś milczał z pochyloną głową.

— Chyba istnieje taki proszek czy mikstura — zapytał Landola — której by nie wykryto przy sekcji zwłok?

— I to bodaj niejedna — odparł Hilario. — Niezły więc to pomysł, senior Cortejo, ale gorzej z jego wykonaniem. Kogo posłać do hacjendy del Erina?

— Ja jechać nie mogę — oświadczył Cortejo stanowczym tonem.

— I ja nie — dodał Landola. — Emma Arbellez poznałaby mnie natychmiast. Hm — mruknął, patrząc badawczo na doktora. — Nie wolno nikogo więcej wtajemniczać.

— To zupełnie zrozumiałe.

— Więc tylko jeden z nas. Pojechałby pan, senior Hilario? Doktor zaprzeczył ruchem głowy. W oczach jego pojawiły się iskierki humoru, ale natychmiast zgasły.

— Dlaczego nie miałby to być pan? — zwrócił się do Landoli.

— Powiedziałem już. Poznano by mnie.

— Ja jednak nie mogę opuścić klasztoru. A więc musi to zrobić któryś z was. Przybyliście tu ucharakteryzowani, prawda? Możecie przecież ponownie zmienić twarze. Co pan na to, senior Cortejo?

— Oczywiście, że tak.

— W takim razie rzecz załatwiona.

— A da nam pan truciznę?

— Dam. Ale o tym później — Hilario uśmiechnął się nieznacznie.

— Gdzie zostawiliście konie? W mieście?

— Nie, tutaj.

— Bardzo dobrze. Nikt nie powinien wiedzieć, że jesteście w klasztorze.

— Ukryje nas pan?

— Czy pan w to wątpi?

— Razem z moim bratem i bratanicą?

— Tak. Zanim was jednak do nich zaprowadzę, mój bratanek przyniesie wam posiłek. Jesteście z pewnością głodni, nie chcę okazać się niegościnnym gospodarzem. Przepraszam więc, że zostawię was samych. Muszę wydać odpowiednie polecenia.

Hilario odszukał Manfreda w sali jadalnej. Gdy chłopak wychodził do kuchni, by wykonać rozkaz stryja, ten zatrzymał go gestem ręki.

— Muszę ci coś powiedzieć, Manfredo. Od lat służyłeś mi wiernie, nie pytając, po co robię to lub owo. Zawsze byłem z ciebie zadowolony, a od dawna już zastanawiałem się, jak ci to wynagrodzić.

— Naprawdę, stryju?! — wykrzyknął uradowany.

— Nie mówiłem o tym wcześniej, bo czekałem na odpowiednią okazję.

— Dziś trafia się taka?

— Właśnie.

— Co się stało?

Doktor zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

— Czy chcesz zostać hrabią?

— Hrabią? — młodzieniec nie posiadał się ze zdumienia. — Czy żartujesz, stryju?

— Mówię całkiem poważnie. A więc, chcesz zostać hrabią?

— Jakim hrabią?

— Hrabią de Rodriganda.

— Wielkie nieba! Jest ich przecież czterech: dwóch starych, uznanych za zmarłych czy zaginionych, jeden młody, który chce być hrabią, ale nim nie jest, i drugi młody, który nim również nie jest, chociaż być powinien.

Hilario pokrótce opowiedział bratankowi treść rozmowy z Landolą i Cortejem. Gdy skończył, Manfredo uszczęśliwiony zawołał:

— To nadzwyczajne! Mam nadzieję, że zamkniesz tych ptaszków razem z resztą! Zasłużyli na to bardziej niż tamci.

— Masz rację. Jeszcze dziś zapłacę im zawiązką za wszystkie łajdactwa. I oni myśleli, że mnie przechytrzą. Od jutra ty będziesz się opiekować wszystkimi jeńcami. Ja muszę jak najszybciej wyjechać do hacjendy del Erina.

— Do hacjendy? Po co?

— Dowiesz się później.

— Na jak długo?

— Na pięć, sześć dni.

— Obiecuję, że przez ten czas więźniom włos z głowy nie spadnie.

— Będziesz ich musiał pilnować znacznie dłużej, gdyż natychmiast po powrocie wyjadę znowu. W ciągu dziesięciu dni muszę być w stolicy. Mam do spełnienia ważną misję polityczną. Jestem przekonany, że przyniesie nam obu sukces. Może zostanę ministrem, ty zaś hrabią Rodriganda...

— Na miłość boską, stryju, zaczynam wierzyć, że mówisz poważnie! Jak zrobisz ze mnie hrabiego?

— To zupełnie proste. Zajmiesz miejsce autentycznego hrabiego.

— To znaczy Mariana? A dowody?

— Wymusimy je na jeńcach, a potem usuniemy wszystkich nam niewygodnych. Zostaw to już mnie. Jeżeli Pablo Cortejo mógł zrobić ze swego bratanka hrabiego Rodrigandę, to mnie też się to uda. Idź teraz do tych dwóch i miej baczenie na wszystko. Gdy się posilą, sprowadź ich na dół. Będę tam na was czekał. Schodzę do lochów, aby przygotować wszystko na przyjęcie nowych mieszkańców.

Manfredo zaniósł gościom półmisek z zimnym mięsiwem. Byli głodni, więc szybko zjedli wszystko. Wtedy Manfredo zaproponował:

— Chodźcie, seniores! Stryj już na nas czeka w podziemiach. Tylko proszę, po wyjściu z tego pokoju zachowajcie całkowite milczenie.

— Gdzie możemy zostawić nasze rzeczy?

— Tutaj. Sam się nimi zaopiekuję.

„Opieka” polegała na tym, że Manfredo sprzedał później oba konie, a wszystkie rzeczy sobie przywłaszczył.

Zeszli schodami na dół, nikogo nie spotkawszy po drodze. Manfredo, zapaliwszy latarkę, pewnie prowadził korytarzem. W pierwszej wnęce, którą mijali, stał Hilario też z latarką w ręku.

— Nareszcie — rzekł kordialnie. — Pokażę wam najpierw więzienia, a potem pójdziemy do seniora Pabla i seniority Josefy.

Doktor szedł pierwszy, za nim Landola, Cortejo i Manfredo. W pewnym momencie, gdy zbliżali się do zakrętu, Hilario wyciągnął z kieszeni jakiś przedmiot w kształcie rurki. Jeden koniec zapalił, w drugi dmuchnął i rzucił pochodnię na ziemię, a sam co sił w nogach pobiegł naprzód. Jego bratanek również szybko wycofał się od płomienia. Przez moment

Corteja i Landolę oświetlił blask płomienia. Chcieli coś krzyknąć, nie mogli jednak wydobyć głosu. Gęsty, smrodliwy dym utrudniał oddychanie. Po chwili padli bez zmysłów na ziemię.

Kiedy Cortejo odzyskał przytomność, głowa mu ciążyła, nie mógł zebrać myśli i mimo że szeroko otwierał oczy, nic nie widział. Zaczął po omacku szukać rękami i ku swemu najwyższemu przerażeniu zrozumiał, że jest w jakimś lochu, w dodatku przywiązany łańcuchami do kamiennej ściany.

— Wielkie nieba! — zawołał w śmiertelnym strachu.

— Aha, jeden się obudził — dotarł do niego jakiś męski głos.

— Słyszałaś?

— Tak — odpowiedział kobiecy głos z przeciwległej strony.

— Kto tu jest? — zapytał Gasparino.

— Tacy sami jak ty, nieszczęśliwi więźniowie — odparł mężczyzna.

— Ja i moja córka.

— Jak się nazywacie?

Mimo że kilka razy powtarzał pytanie, milczeli jak zakłęci. Zaczął miotać się i krzyżeć. Szarpał łańcuchami i nie zważając na ból walił rękami w chropowatą, wilgotną ścianę. Wreszcie, wyczerpany, runął na ziemię, o mało nie przewracając dzbaną wody. Obok niego wymacał kawał suchego chleba.

— O Boże! — jęczał. — Co ja tu robię?! To chyba jakiś makabryczny żart!

— O nie! — odezwał się wreszcie ten sam co poprzednio męski głos.

— Tu na dole wszystko jest gorzką prawdą. I myśmy z początku przypuszczali, że to żarty. Zamknięto nas w okropnej norze, potem dopiero dostaliśmy lepszą celę. Teraz znowu przeniesiono nas do tego straszego lochu. Nasz dręczyciel powiedział, że będziemy mieć towarzystwo, które sprawi nam wielką przyjemność...

— Kogo nazywa pan dręczycielem? — przerwał Cortejo.

— Doktora Hilaria. Jest także waszym katem.

— Doktor Hilario? Ależ nie, to mój przyjaciel!

— A więc i pan dał się mu zwieść tak samo jak my. Czy nie obezwładnił pana jakimś gazem?

Cortejo nie odzyskał jeszcze pełnej świadomości. Myślał i artykułował słowa jak człowiek ledwo obudzony z narkozy. To, co mówił współtowarzysz niedoli, docierało do niego jakby z bardzo daleka.

— Przeprowadzono was tutaj w ciemnościach — ciągnął nieznajomy — i obu przykuto do muru. Wiem, że to zrobił Hilario i jego bratanek. Rozmawiali ze sobą. Kim

jesteś, senior?

— Naprzód muszę poznać pana nazwisko! Powiedziałaś, że uwięziono mnie z kimś drugim. Gdzie on jest?

— Na prawo od pana.

— Ach! Czyżby był to Lan... — Cortejo opamiętał się w porę i nie dokończył. — Czyżby to był mój przyjaciel?

— Wszyscy tu zginiemy. Już nie mam nadziei na litość czy łaskę. Cortejo wyprostował się, o ile na to pozwalał łańcuch.

— O, nie — krzyknął. — Nie chcę i nie mogę umierać!

Znów zaczął się miotać, wyteżając wszystkie siły. Na próżno. Mocne łańcuchy nie puszczały ani odrobinę.

— Niech piekło pochłonie tego Hilaria! — wrzeszczał. — Niech szcześnie i zginie! Mnie uwięził, a inni są wolni!

— Kogo ma pan na myśli?

— Ten drań mi oświadczył, że tu w lochach są moi wrogowie.

— I nam powiedział to samo! Może więc rzeczywiście ma tu innych więźniów? Kim są pana wrogowie?

— Muszę milczeć. A pana?

— Ja też tego nie zdradzę.

W tym momencie rozległo się głębokie westchnienie. To Landola odzyskał świadomość.

— Ach! — jęknął i próbował się wyprostować. Wtedy usłyszał dźwięk łańcuchów. — O Boże! Gdzie ja jestem?!

— Enrique, Enrique, czy to ty? — zawołał Cortejo.

— Tak, to ja — odpowiedział powoli zmęczonym głosem. — Kto o mnie pyta? Gdzie jestem?

— W lochu. Uwięziono nas.

— Kto to zrobił?

— Doktor Hilario.

— Och, przypominam sobie — Landola był coraz przytomniejszy. — Ten stary miał nas zaprowadzić do jeńców, do Ster...

— Cicho! — przerwał mu Cortejo. — Bez nazwisk!

— A dlaczego to, mój Cortejo?

— Kto mnie woła? — Gasparino usłyszał ten sam głos co poprzednio. Usiłował

odpowiedzieć spokojnie:

— Pana? Pana nikt nie wołał.

— Jak to nie? To moje nazwisko. Jestem Cortejem. Pablo Cortejo. Gasparino poruszył się gwałtownie.

— Do wszystkich diabłów! — ryknął. — Teraz już rozumiem! A wiesz ty, kim jest ten, który wymienił twoje nazwisko? To Enrique Landola!

— Enrique Landola?! Kapitan morski?! Landola potwierdził:

— Tak, to ja.

— A kim w takim razie ty jesteś?! Ty, który pierwszy odzyskałeś przytomność?! — krzyknął Pablo.

— Nazywam się tak jak ty. Jestem Gasparino Cortejo, twój rodzony brat!

Rozległy się jęki: męski i kobiecy. Potem wszystko nagle ucichło. Pablo i jego córka Josefa zemdleli.

SĘPI DZIÓB W OPALACH

Wydaje się często, że Opatrzność pobłaża niegodziwcom, że zło triumfuje nad dobrem. Nie należy jednak poddawać się zwątpieniu; wyroki Opatrzności nie są zbadane.

Odbywszy w Meksyku konieczne wizyty, Kurt opuścił stolicę w towarzystwie marynarza Petersa. Jadąc szybko, dotarli niebawem do Tuli. Tutaj — jak było umówione — przyłączyli do nich Sępi Dziób i Grandeprise. Po krótkim odpoczynku cała czwórka ruszyła dalej głównym traktem. Kurt miał dobre mapy, traperzy byli idealnymi przewodnikami. Porucznik liczył więc na to, że przybędą do Santa Jaga przed Cortejem i Landola. I tak by się zapewne stało, tym bardziej że złoczyńcy chcąc zmylić pościg, zoczyli z traktu i wynajawszy przewodnika Metysa, posuwali się wolno bocznymi górskimi drogami. Niestety, nie przewidziane okoliczności pokrzyżowały plany Kurta.

Następnego wieczora przybyli do miasta Zimapam. Zastali w nim mrowie wojska. Francuzi szykowali się do wymarszu; przez Queretaro i stolicę zamierzali dotrzeć do portu Veracruz. Żołnierze cesarscy natomiast pod wodzą osławionego Marqueza stacjonowali na przedmieściach po północnej stronie. Po wyjściu Francuzów mieli obsadzić Zimapam. Nawet najbardziej tolerancyjny cywil, a cóż dopiero Kurt, mógł być zde gustowany panującym tu rozprężeniem. Żołnierze obu armii szwendali się całymi grupami po ulicach, bratali w szynkach i zajazdach.

Porucznik najchętniej spędziłby noc pod gołym niebem w namiocie, ale obaj traperzy odradzali mu.

— Musimy znaleźć jakąś kwaterę — mówili. — Po tej niezdyscyplinowanej bandzie Bóg wie, czego można się spodziewać. A gdzie napoimy i nakarmimy nasze konie?

Przez godzinę z dobrym okładem wędrowali więc od venty do venty, od domu do domu. Na próżno. Nigdzie nie dałoby się nawet szpilki wetknąć. Wreszcie od pewnej starej Indianki, siedzącej w podartej brudnej koszuli przed wałącą się chałupą, dowiedzieli się, że tuż pod miastem na łące nad potokiem, można rozbić namioty i w spokoju spędzić noc. I to jednak okazało się iluzją. Znaleźli jedynie kawałek wolnego miejsca, bo już wcześniej rozlokował się tu oddział francuskiej kawalerii, składający się z jakichś trzydziestu żołnierzy. Siedzieli wokół jasno płonących ognisk, jedli i pili, żuli mocny meksykański tytoń i głośno rozprawiali o wojennych przygodach. Natychmiast zauważyli obcych. Nie w smak im było ich sąsiedztwo. Do Kurta i towarzyszy zaczęły docierać coraz głośniejsze uwagi:

— Czego tu chcą ci ludzie?!

— Jakim prawem cywile biwakują w naszym obozie?!

— Meksykańskie włóczęgi! Oberwańcy.

— Sierzancie, zróbcie z tym porządek! To wasz obowiązek! Podoficer, starszy wiekiem, puszczał mimo uszu słowa swych żołnierzy, ale kiedy spostrzegł, że kilku z nich zamierza podnieść się na nogi, zatrzymał ich ruchem ręki i sam podszedł do naszej czwórki. Kurt leżał koło namiotu na trawie i palił cygaro, a jego towarzysze trochę dalej, nad brzegiem potoku, pilnowali pływających się koni.

— Czego tu chcecie?! — krzyknął sierżant. — Wstawać i wynosić się! Kurt odparł spokojnie:

— Sierzancie, jaką kwaterę przeznaczono wam na dzisiejszą noc? Francuz zapienił się ze złości.

— Jak śmiecie pytać o moją kwaterę?! — huknął. — Jakimże prawem?! Czy nie wiecie, że kiedy się rozmawia z podoficerem jego cesarskiej mości, należy wstać?!

Po twarzy Kurta przemknął uśmiezek.

— Dobrze, wstaję dla świętego spokoju. Ale powtarzam pytanie: jaką kwaterę przeznaczono wam na dzisiejszą noc?

— To nie pańska sprawa!

— Owszem moja. Jeżeli wasz oddział otrzymał rozkaz rozbicia tutaj namiotów, wycofam się natychmiast. Jeżeli jednak macie kwaterę w mieście, zostanę, bo moje prawo do tego miejsca nie jest gorsze od waszego.

Podoficer zaczął coś widać miarkować, bo powiedział niemal grzecznym tonem:

— Kim pan jest? Pańskie słowa każą przypuszczać, że zna pan przepisy wojskowe.

Zaciekawieni żołnierze otoczyli rozmawiających szerokim kręgiem.

— Umiecie czytać, sierzancie? — zapytał Kurt.

— Mille tommerres! — zaklął stary. — Jak może pan wątpić?

— Niech się pan nie złości. Znałem wielu sierżantów analfabetów. Choć mógłbym odwołać się do waszego komendanta, zakończę tę sprawę z panem. Proszę czytać!

Wyjął swoje dokumenty, sporządzone w języku francuskim, i wręczył sierżantowi. Stary przejrzał je szybko i mocno speszony stanął na baczność.

— Przepraszam, panie poruczniku! — wyjąkał. — Nie wiedziałem...

— Trzeba było najpierw zapytać. Gdzie jest wasza kwatera?

— W mieście.

— Zostanę więc tutaj. Możecie odejść.

Sierżant zrobił pół obrotu i pomaszerował w kierunku ogniska. Kiedy usiadł,

żołnierze, którzy nie słyszeli rozmowy, zaczęli go wypytywać jeden przez drugiego:

— Dlaczego ten fircyk sobie nie poszedł? Dlaczego potraktował was tak ostro?

— To pruski oficer. Akurat jemu musiałem się tak narazić! — ubolewał stary. —

Szczęście, że jutro stąd odchodzimy!

— W jakiej on randze?

— Porucznik.

— Tylko?

— Ale huzar gwardyjski. W dodatku służy w sztabie generalnym. I tak więc dobrze, że uszło mi to na sucho.

Słowa te nieco ostudziły rozpalone głowy żołnierzy.

Wieść o zajściu rozniosła się lotem błyskawicy. Z różnych stron obozowiska podchodzili ciekawscy, chcący na własne oczy zobaczyć pruskiego oficera, który taką nauzkę dał sierżantowi. Światła ognisk dobrze oświetlały całą czwórkę. Pewien dragon, uczestnik walk na północy kraju, dłuższy czas przyglądał się Kurtowi i jego kompanom.

— Sacrebleu! — zawołał. — Znam tego człowieka.

— Oficera? — zapytał sierżant.

— Nie. Tego drugiego, z długim nosem. Walczyłem z nim twarzą w twarz. Było to w bitwie pod Cena Sonores.

— Co takiego? Więc to nasz wróg?

— Tak. Był u Juareza. To strzelec amerykański. Nazywają go Sępim Dziobem.

— A więc chyba jest szpiegiem? — zawołał ktoś półgłosem.

— Jesteś pewien, że się nie mylisz? — szepnął sierżant do dragona.

— Głowę daję! Pójdę po Mallou i Renarda. Byli w tej bitwie razem ze mną. Oni też go poznają.

— Idź więc, i to szybko! Coś mi zaczyna świtać we łbie! Pruski oficer w cywilnym ubraniu, szpieg Juareza i jeszcze dwaj inni, o których nic nie wiemy! To by był połów!

— Ale będą mieli nocleg! Ha, ha, ha! — cieszyli się żołnierze.

— Cicho, chłopcy! — rozkazał sierżant. — Nie powinni podejrzewać, co się tu święci inaczej gotowi nam zbiec.

— Zbiec?... To niemożliwe!

Widać nie znacie amerykańskich strzelców! Jeżeli Juarez znowu zdobędzie ten kraj, to tylko dzięki doskonałemu wyszkoleniu, dyscyplinie i niezwykłej odwadze tych właśnie ludzi.

Wrócił dragon.

— Oto Renard i Mallou — przedstawił kolegów. — Niech poświadczą, czy mam

rację.

— Chłopcy — zwrócił się do nich sierżant — przypatrzcie się dobrze temu osobnikowi z długim nosem, który leży nad potokiem. Wasz przyjaciel twierdzi, że znacie tego człowieka.

Po chwili odezwał się Renard:

— Parbleu! Poznają tego łotra! To sławny strzelec amerykański, Sępi Dziób.

— Walczył po stronie Juareza — dodał Mallou. — Wielu naszych ludzi padło od jego kuł.

— Hm — mruknął podoficer. — A pozostali?

— Tych nie rozpoznajemy.

— To zresztą nie ma znaczenia. Naszym obowiązkiem jest ująć całą czwórkę. Ale trzeba postępować ostrożnie, bo jeden z nich to oficer. Zamelduję o wszystkim generałowi. Pójdziecie ze mną — zwrócił się do dragonów. — A wy, moi chłopcy, zachowajcie spokój i nie spuszczać ptaszków z oczu!

Po upływie pół godziny sierżant był z powrotem. Przyprowadził kapitana kawalerii w asyście kilku uzbrojonych żołnierzy. Trzech dragonów generał zatrzymał jako świadków.

Kapitan podszedł do Kurta. Porucznik podniósł się z murawy. Nie spodziewał się niczego złego, zaintrygowało go tylko, co oficer francuski może chcieć od niego. Francuz obserwował go przez chwilę w milczeniu, po czym zapytał:

— Monsieur, wydaje mi się, że nie jest pan stałym mieszkańcem tego miasta?

— Strzał w dziesiątkę! — uśmiechnął się Kurt.

— Zatrzymał się pan tu przejazdem?

— Tak.

— Skąd pan przybywa?

— Z Niemiec. Oficer zmrużył oczy.

— Z Niemiec? Chciał pan zapewne powiedzieć: z Austrii?

— Nie. Z Prus.

— Z Prus? Hm. Uważa pan, że to dobra rekomendacja?

— Nie rozumiem pańskiego pytania — ton Kurta był już o wiele chłodniejszy.

— Zrozumie pan wkrótce. Proszę powiedzieć, jaki jest cel pańskiej podróży!?

— Najpierw miejscowość Santa Jaga, później hacjenda del Erina.

— A po co pan tam jedzie?

— W sprawach osobistych. Mam nadzieję, że spotkam tam krewnych.

— Czy towarzyszące panu osoby to służba?

— Nie. Raczej przyjaciele.

— Hm, przyjaciele. Czy jeden z nich nazywa się Sępi Dziób?

— Tak.

— W takim razie proszę ze mną do generała, który pełni funkcję komendanta miasta.

Kurt spojrział nań ze zdumieniem:

— Co to ma znaczyć?

— Nie upoważniono mnie do udzielania żadnych informacji.

— Czy mam panu towarzyszyć jako jeniec?

— To niewłaściwe słowo. Generał polecił mi sprowadzić pana wraz z towarzyszami.

— Jesteśmy do pańskiej dyspozycji, kapitanie. Ujęli konie za uzdy i ruszyli pod eskortą żołnierzy.

— A to ci historia! Czego te żabojady chcą od nas? — szepnął Sępi Dziób do Grandeprise'a. Wypluł zużyta prymkę i zaraz wpakował do ust następną.

— Może podejrzewają, że jesteśmy szpiegami?

— Ale heca! Słyszałem, że jeden z tych ananasów wymienił moje imię. Co mogę obchodzić jakiegoś tam francuskiego komendanta?

— Niedługo się dowiemy.

— W każdym razie będziemy mieli zaszczyt mówić z samym generałem! Niech to wszyscy diabli porwą!

Minąwszy konne oddziały żołnierzy, dotarli do miasta i zatrzymali się przed kwaterą komendanta. Natychmiast zaprowadzono ich do niego. Oficerowie, licznie zebrani w gabinecie, obrzucili wchodzących ponurymi spojrzeniami.

Generał przez dobrą minutę przyglądał się z rozbawioną miną niezwyklej twarzy Sępiego Dzioba, po czym rzucił:

— Nazwisko?

Sępi Dziób skinął uprzejmie głową.

— Tak, nazwisko.

— Nazwisko?! — powtórzył generał już rozkazującym tonem. Traper uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Oczywiście, że nazwisko.

— Człowieku, co ty wyprawiasz?! Pytam o pańskie nazwisko! — zawołał generał z pasją.

— Ach, to pan chce wiedzieć, jak się nazywam? Nie miałem pojęcia. Stawiając pytanie, z upodobaniem patrzył pan przez cały czas na mój nos. Ponieważ to jemu

zawdzięczam swoje przezwisko, pod którym jestem powszechnie znany, byłem pewien, że pan je także zna i tylko żąda ode mnie potwierdzenia.

— Do diabła! Przecież rozumie się samo przez się, że pytam o nazwisko!

— O, nie! Gdy ktoś mnie prosi: „Czcigodny seniorze, niech pan będzie łaskawy wymienić swe szanowne nazwisko”, nie mam wątpliwości, o co mu chodzi. Ale gdy ktoś mówi: „Nazwisko!”, mogę domniemywać, że ma względem mego nazwiska diabli wiedzą jakie zamiary!

Generał nie wiedział, co sądzić o tej tyradzie. Albo to zuchwalec, albo głupiec — pomyślał. Pohamował jednak wybuch gniewu.

— No, więc powtarzam raz jeszcze: chcę usłyszeć pańskie nazwisko.

— Prawdziwe czy przybrane?

— Prawdziwe.

— Z tym będzie trudniej.

Generał zmarszczył czoło.

— Jak to? Czy ma pan jakieś podstawy do tego, by nie posługiwać się prawdziwym nazwiskiem? To podejrzane!

— Z tym będzie trudniej — Sępi Dziób zlekceważył pytanie. — Od tak dawna nie używałem mego nazwiska, że prawie je zapomniałem.

— Proszę sobie przypomnieć! No?

— Mam wrażenie, że się nazywam William Saunders.

— Skąd?

— Skąd się tak nazywam?

— Nie. Skąd pan przychodzi?! — zagrział generał.

— Ze Stanów Zjednoczonych.

— A przezwisko?

— Sępi Dziób.

— O! Jakie bojowe! — w głosie Francuza zabrzmiała ironia. — Kto panu je nadał?

— Towarzysze.

— Nie wątpię, nie wątpię... Ale powiedziałbym o nich raczej: clochardzi.

— Clochardzi? Pierwszy raz słyszę to słowo.

— A prawda... Nie zna pan francuskiego. To tacy, co siedzą w dzień w swoich śmierdzących norach, za to w nocy panoszą się po ulicach i...

— Aha! — przerwał traper. — Zapewne myśli pan o opryskach i im podobnej hołocie?

— Tak — potwierdził generał.

— Pffttf, pffttf...

Splunął tak blisko głowy oficera, że ten cofnął się z obrzydzeniem i, bardziej zdziwiony niż zły, zawołał:

— Człowieku, co ci strzeliło do głowy?! Nie wiesz, z kim rozmawiasz?

— Wiem aż za dobrze.

— Proszę więc zachowywać się przyzwoicie! Wracając do rzeczy. Kim byli pańscy kompani?

— Kompani? Ależ mówi pan dziwnym językiem! Kalkuluję jednak, że idzie o moich towarzyszy?

— Tak.

— Dzielne chłopy, którzy jednakowo traktują ludzi, choćby byli generałami i zwierzęta. Myśliwi, traperzy, squatterzy i Indianie. Trzeba panu wiedzieć, że chyba nie znajdzie się człowieka prerii, który by nie miał przydomka. Jeden przybiera je od jakiegoś przymiotu, inny od cechy fizycznej czy szczególnego znaku. Największą moją zaletą jest nos. Czyż można się dziwić, że te urwipolcie nazwały mnie Sepim Nosem lub Sepim Dziobem?

— A więc jest pan traperem? Czy zawsze zajmował się pan tylko myślistwem?

— Nie tylko. Jeszcze jadłem, piłem, spałem, cerowałem sobie spodnie, żułem tytoń, nie stroniłem od kobiet, gdy zdarzyła się okazja...

— Żartuje pan sobie ze mnie?

— Nie.

— Nie radziłbym! Zna pan Juareza?

— Owszem, bardzo dobrze.

— Walczył pan pod jego rozkazami? Przeciw Francuzom?

— Tak. Oni walczyli przeciwko mnie, ja przeciw nim.

— Zabijał pan moich rodaków?

— Być może. Podczas walki trudno biegać za kulami i patrzeć, w kogo trafiają.

— Brał pan udział w bitwie pod Cena Sonores?

— Tak.

— Zna pan tych żołnierzy? — wskazał na trzech dragonów, stojących pod ścianą.

Sepi Dziób przyjrzał im się badawczo:

— Trudno powiedzieć, że znam. Ale niedawno widziałem ich za miastem, w obozie.

— Twierdzą, że w tamtej bitwie strzelał pan bardzo celnie. I to do naszych!

— Cieszy mnie ta ocena. Dobry strzelec z przykrością dowiaduje się, że pudłował.

— Dosyć tych błazeństw! — rozłościł się generał. — Tu chodzi o śmierć i życie! Strzelał pan do Francuzów, jest pan więc mordercą.

— Czyżby? Jestem żołnierzem jak ci pańscy ludzie, którzy na mnie donieśli, nie zaś mordercą.

— No, niech panu będzie. Wycofuję to słowo. Ale jest pan buntownikiem i zgodnie z cesarskim dekretem będzie pan rozstrzelany.

— Ja buntownikiem? Panie generale! Proszę przeczytać ten dokument.

Wyciągnął z kieszeni jakieś papiery i jeden podał generałowi. Rzuciwszy nań okiem, Francuz zawołał:

— Więc był pan kapitanem amerykańskich dragonów?

— Tak. Można nim zostać mimo długiego nosa. Generał puścił tę uwagę mimo uszu.

— Ale przyłączył się pan do meksykańskiej bandy.

— Jak pan śmie nazywać bandą wojsko Juareza?! Proszę zapoznać się z tym jeszcze — podał drugi dokument. — To patent wystawiony przez Juareza, że jestem dowódcą ochotniczej kompanii strzelców.

Generał wzruszył ramionami.

— A więc walczył pan pod Juarezem, mimo że jest pan oficerem armii Stanów Zjednoczonych! Dla mnie zasługuje pan na jedno tylko miano: dezertera!

— Nawet gdybym uciekł, odpowiadałbym wyłącznie przed moim prezydentem. Ale prawda jest taka, że dostałem bezterminowy urlop. Prezydent pozwolił mi walczyć z Juarezem. Oto kolejny dowód — wyciągnął trzeci papier.

— Znalazł się pan jednak u nas! Zakradł tutaj! Jest więc pan szpiegiem!

— Ja szpiegiem?! Co za bzdura! A w dodatku zostałem zdemobilizowany. Proszę przeczytać ten dokument.

Generał rzucił nań okiem.

— Rzeczywiście — powiedział — Juarez zwolnił pana ze służby. Nie zmienia to jednak istoty rzeczy.

— Czy każdy obcy, przebywający w pobliżu waszych wojsk, jest uważany za szpiega?

— Nie mam ani czasu, ani ochoty dłużej z panem dyskutować. W myśl dekretu cesarskiego każdy, kto stanie z bronią w rękę przeciw wojskom cesarza, uważany być winien za buntownika i musi ponieść śmierć przez rozstrzelanie. Wyrok już zapadł.

Traper wyprostował się.

— Generale, jest pan poddanym cesarza Francji, który uznał cesarza Meksyku, arcyksięcia austriackiego Maksymiliana, musi więc pan stosować się do rozkazów obu tych

władców. Ale ja jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych. Mój prezydent nie uznaje i nigdy nie uznawał cesarza Meksyku. Jasne więc, że zarządzenia arcyksięcia austriackiego są mu, a i mnie także, jako obywatelowi amerykańskiemu najzupełniej obojętne.

— Co mnie czy kogokolwiek innego mogą obchodzić pańskie uczucia! Powtarzam: na terytorium objętym naszą władzą nie będzie żadnych wyjątków w stosowaniu dekretu!

— To gwałt i bezprawie! Protestuję! Nie ujdzie to wam na sucho. Mój prezydent zażąda wyjaśnień.

— Phi! Też mi figura! Prezydent kramarzy! — zawołał generał z pogardą.

— Pffttf. — Sepi Dziób splunął przez cały pokój; na przeciwległej ścianie wystąpiła spora, jasnobrązowa plama. Podniósł dumnie głowę i spytał: — Kramarzy, powiada pan? No to wyjaśnij mi, generale, dlaczego wasze wojska opuszczają Meksyk. Czyżby pan nie wiedział, że właśnie prezydent Stanów Zjednoczonych oświadczył, że nie zniesie dłużej obecności wojsk francuskich w Meksyku? Czy więc nie wynika z tego, że ów kramarz cieszy się szacunkiem w Europie, a może nawet, że Europa boi się go?

Generała mało nie trafiła apopleksja. Po raz pierwszy ktoś odważył się mówić z nim w ten sposób. Z drugiej jednak strony doskonale rozumiał znaczenie dokumentów, które pokazał mu jankes, a co więcej nie mógł odmówić słuszności jego wywodom. Opanował się i rzekł wyniosłym, oziębłym tonem:

— Zniżyłem się, by zbadać pańską sprawę. Teraz milczeć i słuchać, co będzie dalej.

— Bardzo mnie to ciekawi — Sepi Dziób uśmiechał się ironicznie.

Komendant zwrócił się do Grandepriś'a:

— Nazwisko?

— Grandepriś.

— Skąd pan pochodzi?

— Z Nowego Orleanu.

— Również obywatel Stanów Zjednoczonych?

— Tak, byłem nim, potem na krótko być przestałem, teraz jestem znowu.

— Jak to mam rozumieć?

— Jestem myśliwym. Przez jakiś czas polowałem na terenie Meksyku, niedaleko granicy, teraz znów mieszkam na teksaskim brzegu Rio Grandę.

— Co pan tu robi?

— Służę porucznikowi Ungerowi.

— A pan? — generał zwrócił się do Petersa.

— Jestem marynarzem, nazywam się Peters. Mam w Meksyku załatwić pewną

prywatną sprawę.

Francuz zajął się teraz Kurtem, który spokojnie, niby przypadkowy widz, przysłuchiwał się rozmowie.

— Proszę o dokumenty.

Przeczytawszy je, generał przez chwilę przyglądał się badawczo Ungerowi. Wreszcie zapytał:

— Nazywa się pan Kurt Unger, jest pan porucznikiem huzarów gwardii w Berlinie, odkomenderowanym do sztabu sławnego Moltkego? — w tych ostatnich słowach nietrudno było wyczuć zjadliwość.

Kurt odparł ze spokojem:

— Po co to pytanie, generale? Przejrzał pan przecież papiery i zna moje personalia.

— Jest pan bardzo pewny siebie. Ten wyniosły ton to druga natura Prusaków. Pytam, ponieważ trudno mi uwierzyć w prawdziwość tych dokumentów. Jak człowiek, podając się za oficera, mógłby być szpiegiem?

Kurtowi krew uderzyła do głowy, ale opanował się.

— Generale, powiedział pan słowo „szpieg”. Albo musi mi pan to udowodnić, albo też ja muszę otrzymać satysfakcję.

— Tylko nie tak wyniośle, mój młody poruczniku! Niech pan raczy mi powiedzieć, skąd pan przybywa?

— Z Meksyku.

— Czy odwiedził pan tam jakichś Niemców?

— Owszem. Pełnomocnika Prus von Magnusa.

— W sprawach urzędowych?

— Nie. W prywatnych.

— Dokąd pan chciał się stąd udać?

— Do Santa Jaga i hacjendy del Erina.

— Sacre! Do tej sławnej, a raczej osławionej hacjendy? Czy wie pan, że znajduje się ona teraz w rękach Juareza?

— Owszem.

— Przybywa pan więc ze stolicy i udaje się do Juareza?

— Niezupełnie. Przybywam ze stolicy, ale do Santa Jaga jadę w osobistych sprawach. Później zapewne odwiedzę hacjendę. Skąd jednak to twierdzenie, że szukani Juareza?

— Należy się tego spodziewać.

— A więc to tylko przypuszczenie! Jak można na podstawie przypuszczeń obrażać i

więzić oficera i dżentelmena!

— Znajdę dowody! — huknął generał. — Przeszukać ich!

— Protestuję!

Protest Kurta na nic się nie zdał. Zrewidowano wszystkich dokładnie.

— Gdyby pan nawet nie był szpiegiem — grzmiał dalej generał — gdybym nawet chciał ułaskawić tego Sępiego Dzioba i tak musiałbym was zatrzymać w areszcie!

— A to dlaczego? — zapytał porucznik.

— Sądzi pan, że pozwolę wam spotkać się z Juarezem i powiadomić go, co się tu dzieje? Rotmistrz, proszę wydzielić tej czwórce kwaterę!

Nastąpiła gwałtowna wymiana zdań. Jeńcom odebrano wszystko z wyjątkiem najniezbędniejszych rzeczy osobistych. Potem zamknięto ich w niewielkiej izbie i otoczono strażą. O ucieczce nie mogło być mowy.

Odzyskali wolność dopiero po upływie szeregu dni. Oddano im również broń i wszystkie rzeczy. Mimo pogroźek generał nie odważył się postawić Sępiego Dzioba przed sądem wojennym.

Kurt i jego towarzysze aż pienili się z wściekłości. Postanowili wprawdzie zwrócić się ze skargą do przedstawicieli swych państw w Meksyku, ale o nadrobieniu straconego czasu nie mogło być mowy. Kiedy ruszyli w drogę, nie napotkali już żadnych śladów Corteja i Landoli.

PIRNERO U CELU

Kto wierzy w Boga i Opatrzność, ten wie, że Stwórca wtedy właśnie splata nici losu, gdy człowiek najmniej się tego spodziewa i gdy wszelka nadzieja w nim gaśnie.

W forcie Guadalupe było pusto i smutno. Apacze na rozkaz Juareza obsadzili tereny graniczne, amerykańscy strzelcy zaś i zdolni do noszenia broni mieszkańcy twierdzy ruszyli w ślad za Zapoteką. Życie zamarło. Do fortu zawitał zły gość: nuda.

Było późne popołudnie. Rezedilla siedziała przy oknie na swym zwykłym miejscu i cerowała. Zmieniła się nieco. Bładość wysubtelniła jej twarz, oczy nabrały głębi, czała się w nich cicha rezygnacja. Mimo to wydawała się piękniejsza niż dawniej.

Przy drugim oknie usadowił się Pirnero. Trzymał książkę w ręku, nie czytał jednak, tylko patrzył na zachodzące słońce. I on się zmienił. Wyłysiał trochę, na czole pojawiły się zmarszczki, usta miał mocno zaciśnięte, a wzrok ponury.

W izbie panowała niemila cisza; ani córka, ani ojciec nie spieszyli się, by ją przerwać. Wreszcie stary chrząknął.

— Hm, podła pogoda. Rezedilla nie odpowiedziała.

— Bardzo podła pogoda! — powtórzył po chwili. Milczała nadal.

— No?! — zawołał ze złością.

— Co, ojcze?

— Podła pogoda.

— Przeciwnie, jest bardzo ładnie.

Odwrócił głowę, spojrział na dziewczynę ze zdumieniem, jak gdyby powiedziała coś niepokojącego i mruknął:

— Co? Jak? Ładnie?

— Oczywiście, popatrz tylko.

— Patrzyłem przez cały dzień, ale nic ładnego nie zauważyłem. Świeci słońce, zielenią się drzewa i krzaki, płynie rzeka, od czasu do czasu słychać śpiew ptaków. A i wokół nas kilka niebrzydkich domów. To prawda. Ale ludzi nie widzę. Nikt nie przychodzi do gospody, nie pije julepu, nikt nic nie kupuje, nie ma z kim pogadać ani ubić interesu.

— Ach tak! Jeśli o to chodzi, masz rację. Już dawno nie było u nas nikogo — Rezedilla wyraźnie zmarkotniała.

— No właśnie. Nawet... zięcia.

Ostro spojrział na córkę. Pochyliła głowę, na twarzy jej wystąpił lekki rumieniec.

— I co ty na to? Jak jeszcze długo mam czekać na zięcia? Rezedilla westchnęła głęboko. Pirnero był coraz bardziej napastliwy.

— Czy ty w ogóle nie masz rozumu? — zawołał. — Pamiętasz, ile wysiłku kosztowały mnie starania o zięcia?

— Tak — powiedziała, nie chcąc pogarszać jego humoru.

— Był tu Mały Andre. Przystojny, miły kawaler. Chłop w sam raz. Browarnik, miał pełne worki nuggetów. Potem zjawił się następny.

Udawała, że nie wie o kogo chodzi. Rozzłościł się jeszcze bardziej:

— No, odezwij się wreszcie! Czyżbyś zaniemówiła?

— Kto ci przychodzi do głowy?

— No, tak! Człowiek się męczy, aby zdobyć zięcia, a ona nie zna nawet swych adoratorów! Myślę o Amerykaninie, który przypląnął tu czólnem.

— O Sępim Dziobie?

— Tak. To przecież traper, w dodatku wysłannik lorda. Nie miałabyś zgryzoty z powodu jego nosa, odziedziczyłyby go tylko córki, a nie synowie, córki bowiem dziedziczą cechy ojca, synowie zaś podobni są zwykle do matek. Potem zjawił się trzeci.

Pochyliła głowę jeszcze niżej.

— No — mruknął. — Zjawił się trzeci...

— Myślisz o Gerardzie? — rumieniec znikł z jej policzków.

— Tak, ten był najsympatyczniejszy.

— I ja tak uważam — szepnęła drżącym głosem.

— Do licha! Sławny człowiek. Dzielny, mocny, przystojny, przy tym łagodny jak dziecko, skromny jak baranek. I bogaty! Ta kolba ze złota. Pamiętasz, jak odkroił kawałek?

— Byłam przy tym.

— A jak pozabijał tych Francuzów, mimo że sam był na pół żywy? Biedak. Tak długo walczył ze śmiercią. Ledwo wyszedł z tego, co?

— O tak, ojcze!

— Znowu miałem nadzieję. Wiesz, co zacząłem wtedy sobie wyobrażać?

— No?

— Że poprosi o twoją rękę. Rezedilla milczała.

— Albo że przynajmniej wyzna ci miłość. Znowu odpowiedziała mu cisza.

— No i co? — nalegał. — Nie doszło do tego?

— Nie.

— Nie pocałował cię ani w rękę, ani... w usta?

— Nie.

— A może cię uszczypnął w ramię lub w ucho?

— Także nie.

— Do kroćset! Nie ścisnął nawet mocniej twojej dłoni?

— Owszem, gdy odchodził.

— Wtedy już było za późno. Jak ja zabiegałem o twoją matkę, gdy ją poznałem! Do dzisiaj tego zapomnieć nie mogę! Lepiej znaleźmy się na miłości niż wy młodzi! Z Gerarda chłop morowy, a jednak... Mój Boże, ale byłby zięć z niego! Nie mówił ci, dokąd się wybiera?

— Mówił.

— Co?! Tobie powiedział, a mnie nie? Do licha! Wypraszam sobie tajemnice w moim domu! Nie pozwolę, aby cokolwiek działo się poza moimi plecami! Dlaczego nie wyjawiaś mi tego?

— Prosił mnie o dyskrecję.

— Do diabła! Macie tajemnice przede mną?! Tak się nie godzi córce i zięciowi! Muszę wiedzieć o wszystkim, co ciebie dotyczy, nawet o liczbie pocałunków na godzinę! To konieczne, abym porównał małżeństwo córki ze swoim własnym. Mówże więc!

— Ojczy, chciałam dochować mu słowa, ale chwila jego powrotu minęła i zaczynam się obawiać...

— Zaczynasz się obawiać? A to czego?

— Był przecież taki słaby, kiedy odjeżdżał...

— Na litość boską, o co chodzi!?

— Miał zamiar... Chciał... O mój Boże!...

Przerwała w środku zdania. Błada jak chusta, zerwała się z krzesła i utkwivszy wzrok w oknie, ręce przycisnęła mocno do serca.

— Co się stało?! — Pirnero wychylił się przez okno i ujrzał jeźdźca, jadącego wolno po stromej ulicy. Za jeźdźcem szły cztery muły obciążone towarem. — Do kroćset bomb i kartaczy, to przecież on! — wykrzyknął i wybiegł z gospody.

Rezedilla opuściła ręce, a po chwili podniosła je znowu do oczu i rozplakała się.

— To on, to on! — szlochała. — Bogu niech będą dzięki! Ale takiej nie może mnie zobaczyć! Muszę się uspokoić!

Szybko wybiegła z izby i w oka mgnieniu znalazła się na górze w swoim pokoju.

Pirnero wyszedł przed gospodę na powitanie gościa.

— Witam, witam serdecznie, senior Gerard! — zawołał. Gerard był w znakomitej

formie. Ubranie miał wprawdzie

zniszczone, w wielu miejscach podarte, ale nikt nie dopatrzyłby się w nim śladów choroby. Opalona, tryskająca zdrowiem twarz w niczym nie przypominała tej, jaką zapamiętał oberżysta.

Młodzieniec zeskoczył z konia. Wziął Pirnera w objęcia i pocałował głośno w policzek.

— Witajcie, senior, witajcie! Jakże się cieszę, że znowu jestem u was!

Pirnero nie doświadczył dotychczas w życiu czegoś podobnego. Oczy zaszyły mu łzami wzruszenia.

— Naprawdę? Cieszy się pan i ściska mnie z radością? Chciałbym tylko... Ale boję się mówić o tym, bo postanowił senior zostać na zawsze kawalerem.

— Dobrze mnie pan pamięta! Ale jak się ma seniorita Rezedilla?

— Nie najlepiej. Chyba zachorowała na żołądek, bo nic nie je. Chudnie, wzdycha po kątach, stęka, jęczy i płacze, na brzuch przykładła gorczycę, plecy zaś smarowała melisą. Nie słucha wiele.

Przydałby mi się energiczny zięć... Już on by jej wytłumaczył, czym jest dla chorego, źle funkcjonującego żołądka gorczyca i melisa.

Czarny Gerard uśmiechnął się. Nieraz już przecież słyszał podobne utyskiwania starego i wiedział, że jego marzeniem jest wydanie córki za mąż.

— Gdzie jest teraz seniorka?

— Tu na dole, w głównej izbie gospody.

— Idę się z nią przywitać.

Wszedł do sieni, otworzył drzwi i spojrzał do środka.

— Nie na nikogo.

— Ależ jest na pewno!

— Gdzież się podziała?

Pirnero podbiegł do krzesła, na którym Rezedilla siedziała przed chwilą. Było puste.

— Jak mi Bóg miły, nie ma jej! A więc uciekła! To dopiero zachowanie! Do stu siarczystych piorunów! Czym jej pan dokuczał?

— Ja? Jak to?

— Nie znosi pana! Uciekła! Nie chce o panu słyszeć!

— Co mam robić? Czy w tej sytuacji, drogi senior Pirnero, pozwoli mi pan umieścić w waszej stajni mojego konia, muły i przechować ładunek?

— Oczywiście.

— Wolalbym zostawić towar w zamkniętym pomieszczeniu.

— Jest cenny?

— Owszem, to ołów.

— Ołów? Świetnie! Wielu na niego nabywców. Gdzie go pan chce sprzedać? I skąd go pan wziął?

— Na razie zostawię go tutaj. A znalazłem go w górach, są tam całe pokłady. Wkrótce będzie mi potrzeba bardzo dużo pieniędzy.

— Mam nadzieję, że nie zażąda senior zbyt wysokiej ceny. Po co panu tyle pieniędzy?

— Chcę się ożenić.

Stary skoczył jak oparzony.

— Ożenić się? Nonsens!

— Skądże znowu!

— Kiedy?

— Wkrótce.

— Z kim?

— Z pewną senioritą, która mieszka niedaleko stąd.

— Czy stracił pan głowę?

— Chciałbym zakosztować szczęścia...

— Szczęścia? Niechże was wszyscy diabli! Czy małżeństwo daje szczęście? To dla mężczyzny niewola i rezygnacja z samodzielności.

— Już za późno.

— Nigdy nie jest za późno! Poślij ją pan do diabła! Ma rodziców?

— Tylko ojca.

— Musi pan z tym skończyć! Nawet porządnego teścia nie będzie pan miał! Przecież mężczyzna żeni się po to, by utrzymywać z teściem dobre stosunki.

— Jestem tego samego zdania. Powiedziałem już jednak, że teraz za późno.

— W takim razie współczuję z głębi serca.

— Można przenieść towar? — Gerard zmienił temat rozmowy.

— Zawołam zaraz ludzi. Ale jest senior ostrożny! Zapieczętował pan worki!

— Ostrożność nie zawadzi. Proszę uważać, aby nie uszkodzono pieczęci.

Gerard wyszedł z izby. Pirnero wydał polecenie, by przeniesiono ładunek i pospieszył do kuchni.

— Gdzie Rezedilla? — zapytał starą służącą.

— Nie wiem. Słyszałam tylko, jak szła po schodach.

— Uciekła — westchnął. — Hm, nie biorę jej tego za złe. To jednak setny głupiec!

— Dlaczego? — zapytała stara, korzystając z tego, że pan, czego nigdy prawie nie robił, raczył z nią rozmawiać.

— Ponieważ się żeni.

— Och, Madonna, czy to naprawdę takie głupie? To przecież nie głupota wziąć seniorkę Rezedillę za żonę. Po pierwsze: jest miła, po drugie: bardzo ładna, po trzecie: zamożna, po czwarte...

— Po pierwsze, po drugie, po trzecie i po czwarte powinnaś trzymać język za zębami — przerwał gniewnie. — On wcale nie chce żenić się z Rezedilla!

— Nie? — zdziwiła się służąca.

— Nie! Mylił się, jeżeli przypuszczał, że mu dam Rezedillę za żonę. Choćby był ze złota od stóp do głów! Umyśliłem sobie kogoś innego na zięcia. Nie po to starannie ją wychowałem, aby wyszła za mąż za strzelca. Dostanie lepszego męża!

Pirnero wpadał w coraz większy gniew. Fakt, że Czarny Gerard chce żenić się z inną kobietą, a nie z jego córką niweczył nadzieję. Ale postanowił udawać absolutną obojętność i mruknął:

— Cieszę się, że Rezedilla nie chce o nim słyszeć. Dobrze zrobiła, że uciekła. Przyrządzimy Gerardowi posiłek bez jej pomocy.

Zaczął krzątać się po kuchni.

Gerard tymczasem wszedł po schodach na górę. Zatrzymawszy się przed drzwiami pokoju Rezedilli, który pozostawał mu żywo w pamięci, zapukał delikatnie. Usłyszawszy ciche: „proszę”, otworzył drzwi. Dziewczyna stała przy oknie. Piękne oczy były jeszcze wilgotne od łez. Zbliżył się.

— Czy ma mi pani za złe, że ośmieliłem się przyjść tutaj?

— Nie — szepnęła.

— Płakała pani?

— Trochę — rzekła cicho, uśmiechając się przez łzy.

— Gdybym znał przyczynę tych łez... Nie odpowiedziała. Ciągnął więc dalej:

— Gdy przyjechałem, była pani na dole?

— Tak.

— I uciekła pani. Teraz zaś zbywa mnie pani półsłówkami. A więc mój powrót jest dla pani przykry?

Rezedilla podeszła do niego i wyciągnęła obie ręce.

— Cieszę się, że pan wrócił, senior!

— Naprawdę? — zapytał, ujmując jej dłoń.

— Tak, cieszę się bardzo.

— A jednak uciekła pani przede mną. Dlaczego? Zaczerwieniła się po uszy.

— Nie chciałam, aby mnie pan zobaczył, bo... bo... Proszę mi pozwolić nie odpowiadać!

Gerard spojrzał na nią badawczo.

— Seniorka, błagani, niech pani powie!

Pochyliła głowę i rzekła ledwie dosłyszalnym głosem:

— Nie byłam przecież sama.

— Nie była pani sama? Jak mam to rozumieć?

— Ojciec był na dole. Ogarnęło go radosne przeczucie.

— Dlaczego nie chciała pani, aby ojciec był świadkiem naszego powitania?

Nagle zarzuciła mu ręce na szyję i jednym tchem wyrecytowała:

— Nie chciałam, aby widział, jak cię kocham, z jakim utęsknieniem na ciebie czekałam!

Gerard z trudem powstrzymał gwałtowny wybuch radości. Mocnymi ramionami przytulał dziewczynę i drżąc ze szczęścia zawołał:

— Najdroższa! Czym zasłużyłem na twoje uczucie?!

Po chwili odnalazły się ich usta i zamarli w długim pocałunku.

— Kochasz mnie, myślałaś o mnie — szepnął. — Myślałaś o biednym strzelcu. O obcym, złym człowieku, który w ojczyźnie swej był...

— Nie mów już o tym nigdy! Bóg ci przebaczył! Bóg da ci to, co dla ciebie najlepsze!

— Dzięki tobie, dzięki tobie! Jakże się dręczyłem! Miałem wrażenie, że wyciągnąłem rękę po coś, czego nie dostanę nigdy.

— Jestem twoja.

— Moja, moja — wykrzyknął radośnie, całując ją raz po raz. — Ale co powie twój ojciec?

Na jej pięknej twarzy pojawił się figlarny uśmieszek.

— Boisz się go?

— Prawdę mówiąc, tak.

— Jakże to może być?! Sławny strzelec boi się starego Pirnera?

— No widzisz. Taki ze mnie odważny mężczyzna — powtórzył z zakłopotaniem.

— Nie jesteś przecież sam. Znajdziesz we mnie oparcie. Zresztą ojciec jest w tobie formalnie zakochany.

— Sądziś więc, że powinienem z nim pomówić?

— Oczywiście.

— Kiedy? Zarumieniła się lekko.

— Kiedy zechcesz.

Znowu przycisnął ją do siebie.

— Dziś jeszcze?

— Jeszcze dziś — szepnęła, podnosząc nań oczy promieniejące szczęściem.

— Dziękuję! Przed chwilą oświadczyłem ojcu, że mam zamiar się ożenić. Zapytał, z kim. Odpowiedziałem: „Z dziewczyną, która mieszka niedaleko stąd”. Usłyszawszy to, zaczął mi gwałtownie odradzać żeniactwo.

Rezedilla roześmiała się serdecznie.

— Jest widocznie przekonany, że chcesz się żenić z inną. Wpadł zapewne w bardzo zły humor. Gdzież jest teraz?

— W kuchni. Prosiłem, aby mi przygotował posiłek.

— Nie będzie najsmaczniejszy. Gdzie chcesz mieszkać? W swoim dawnym pokoju?

— Tam, gdzie usnąłem wtedy z wyczerpania.

— Tak. W tym samym, w którym przekonałam się, że masz złotą kolbę.

— Chciałem cię prosić o ten właśnie pokój.

Rezedilla zeszła po chwili do kuchni. Pirnero wraz ze służącą uwijał się wśród misek i talerzy. Ujrzawszy córkę, zapytał:

— Gdzie byłaś?

— Na górce, w swoim pokoju.

— Wracaj prędko do siebie! Nie jesteś nam potrzebna.

— Chciałabym pomóc.

— A po co? Sami sobie damy radę. Nie mam zamiaru potraktować tego Gerarda smakołykami.

Tłumiąc śmiech, powiedziała:

— Miałam wrażenie, że bardzo go cenisz.

— Phi! Uczucia się zmieniają.

— Co się stało?

— To cię nie powinno obchodzić! Gdzież jest ten łotr?

— W swoim pokoju.

— Mógłby właściwie spać na sianie u vaquerów! Nie zamówił nawet szklanki parszywego julepu. No, to jedzenie popamięta sobie! Zamiast masła dodałem wapna, zamiast

pieprzu cukru, zamiast octu mleka. W dodatku dostanie kawał starego mięsa, i to przypalonego. Zęby niech sobie łotr połamie na tych przysmakach!

— Ależ ojczy!

— Ani słowa! — przerwał. — Dla głupca, który chce się żenić, przypalone i źle doprawione płucka wołowe są odpowiednią potrawą.

Wypchnął Rezedillę za drzwi. Nie opierała się. Pobiegła do ukochanego i śmiejąc się do rozpuku, powiedziała mu, jaka to wspaniała uczta go czeka. Potem zeszła do gospody i usiadła przy oknie.

Pojawiła się służąca i zaczęła nakrywać do stołu. Gdy skończyła, Pirnero posłał na górę po Gerarda. Sam zajął swoje ulubione miejsce przy oknie, ale obrócił krzesło na izbę, aby widzieć dobrze nietęgą zapewne minę gościa. Już z góry się cieszył na ten widok.

Gerard wszedł i usiadł przy stole. Wziął widelec i usiłował wbić go w mięso. Musiał wyteńczyć siły, było bowiem twarde jak kamień.

— Delicje! — oblizał się. — Jaka soczysta i miękka pieczeń! Co to za mięso, senior Pirnero?

— Pieczone płuca cielęce — wyjaśnił gospodarz.

— Moja ulubiona potrawa! Wolę ją jednak na zimno. Zostawię sobie na później! Mam kawałek mięsa bawolego do usmażenia na ruszcie. Czy ogień się pali, senior Pirnero?

— Nie — odparł ze złością.

Gerard nie dawał za wygraną. Otworzył drzwi do kuchni i zawołał:

— Co też pan mówi! Przecież bucha jasnym płomieniem! Seniorita Rezedilla! Czy będzie pani łaskawa przyrzadzić moje mięso?

Stary rzucił w kierunku córki groźne spojrzenie, w którym czaił się rozkaz, aby odmówiła. Ale Rezedilla podniosła się z krzesła.

— Nie mogę odmówić, senior, choć muszę przyznać, że mi żal naszej pieczeni.

— Ma pan dziwne gusty — dodał Pirnero. — Pierwszy raz słyszę, aby ktoś jadał płuca cielęce na zimno! Nie spotkałem się z tym ani tutaj, ani w Firnie, a tam ludzie znają się na kuchni.

Gerard nie dał się przekonać. Przyniósł kawał mięsa bawolego i podał Rezedilli. Dziewczyna wyszła do kuchni, aby się zająć przygotowaniem posiłku.

W izbie nastąpiła cisza. Gerard znał naturę i przyzwyczajenia starego. Wiedział dobrze, że Pirnero nie wytrwa długo w milczeniu. Nie omylił się. Po pięciu minutach oberzysta zaczął niespokojnie wiercić się na stołku, po upływie zaś dziesięciu rzekł:

— Podła pogoda.

Gerard nie odpowiedział. Pirnero powtórzył więc:

— Podła pogoda!

Gdy i teraz gość nie zareagował, odwrócił się i zawołał:

— No?!

— O co chodzi? — zapytał Gerard z uśmiechem.

— Podła pogoda. Co za upał!

— Można wytrzymać.

— Można? Do kroćset! Przecież okropna susza!

— Tak, ale w Liano Estacado była jeszcze większa.

— Może. Dla naszej okolicy to klęska. Widział senior rzekę? Wyszła prawie do dna.

Ryby giną. Ludzie padają z nóg. Przeklęty kraj! Od czego jednak głowa na karku? Wyniosę się stąd.

Słowa te zaskoczyły Gerarda.

— Naprawdę? A to dokąd?

— Wiadomo. Pochodzę przecież z Saksonii. Tam powrócę. Wczoraj otrzymałem list z rodzinnego miasta od szkolnego kolegi. Po długoletniej pracy doszedł do wysokiego stanowiska w miejscowym sądzie. Ma syna, który pracował najpierw na kolei, potem był marynarzem, a później wstąpił do prokuratury. Teraz jest rzeczywistym tajnym radcą najwyższej kasy sportowo-pocztowo-oszczędnościowo-rewizyjnej. Ten pan prosi mnie listownie o rękę Rezedilli.

— Do licha! Zna ją?

— Głupie pytanie! Tacy dostojni ludzie zwykle zawierają związki małżeńskie na odległość.

— Odpowiedział mu senior?

— Oczywiście. Oświadczyłem, że się zgadzam i dałem swe błogosławieństwo.

— No, to szybka decyzja.

— Dlaczego miałem się ociągać? Przyszły mój zięć pochodzi z jednej z najlepszych rodzin w kraju. Jest rzeczywistym tajnym radcą. Kogóż by Rezedilla dostała tutaj? Najwyżej jakiegoś biednego trapera lub strzelca, którego musiałbym utrzymywać.

— Może ma senior rację. Życzę szczęścia.

— Dziękuję — stary kiwnął protekcyjnie głową.

— Ale — ciągnął Gerard — co będzie z pańską posiadłością?

— Sprzedam ją. Zawsze znajdzie się kupiec.

— Ma pan już upatrzonogo?

— Tak.

Stary nie myślał nawet o opuszczeniu Guadalupe. Był wściekły na Gerarda i chciał mu dokuczyć. Młody człowiek powiedział z najniewinniejszą pod słońcem miną:

— To szkoda. Przyjechałem, aby się dowiedzieć, czy przypadkiem nie zechce senior sprzedać gospody.

Pirnero spojrział spode łba.

— Co...?!

— Znam pewnego kupca, któremu pańska oberża i teren wokół niej bardzo by odpowiadały.

— Gdzie jest ten kupiec?

— Teraz to bez znaczenia. Przecież już znalazł pan innego.

— O, to nie przeszkadza! Przy dwóch chętnych mógłbym dokonać korzystniejszego dla mnie wyboru. A więc, kto to?

— Ja sam.

— Senior?! Bez pieniędzy?! Ma pan wprowadzić kolbę ze złota, parę worków ołowiu i wie, gdzie znaleźć można jeszcze kilka nuggetów, ale wszystko to za mało.

— Hm, a może jednak... Ile senior żąda?

— Sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Jeżeli zapłaci pan tę sumę, będzie mógł zabrać wszystko, nie wyłączając zapasów zgromadzonych w składach.

Gerard pokiwał głową.

— To brzmi zachęcająco. Niestety, nie rozporządzam taką sumą.

— Byłem tego pewien!

— Mam dwanaście tysięcy dolarów.

— To prawie nic! Niejeden biedak zaoszczędził więcej. Z moim rzeczywistym tajnym radcą rzecz przedstawia się inaczej. A więc z naszego interesu nici, nawet gdyby senior uzyskał kilkaset dolarów za ołów. Chętnie go zresztą kupię.

— Za ile konkretnie?

— To zależy od gatunku. Musiałbym go obejrzeć.

Gerard wyszedł z gospody, a po chwili wrócił z jednym skórzanym workiem.

— Dlaczego tutaj? — obruszył się Pirnero. — Takie interesy załatwia się w składzie.

— Wszystko jedno. I tak pan nie kupi.

— A to dlaczego?

— Nie stać pana będzie.

— Co takiego? Stary Pirnero ma jeszcze dosyć pieniędzy na marny ołów!

— Zobaczmy! Proszę otworzyć worek.

Stary zeszkrobał nożem pieczęcie i rozsupłał wiązadła. Okazało się, że wewnątrz był jeszcze drugi worek z garbowanej skóry. Otworzywszy go, Pirnero schylił się, aby obejrzeć metal i... cofnął się zaskoczony.

— Przecież to złoto, najszczerze złoto! Nuggety wielkości włoskich orzechów!

— Do kroćset! — zaklął Gerard. — Co ja zrobiłem najlepszego! Pomyliłem się. Napchałem worek nie ołowiem, ale nuggetami.

Pirnero znieruchomiał z wyciągniętymi rękami, pełnymi nuggetów. Rezedilla, która weszła właśnie do izby, z równym zdumieniem przyglądała się złotu.

— Pomylił się pan?! — oberżysta odzyskał wreszcie głos. — Na miłość boską, ile waży ten worek?!

— Sześćdziesiąt funtów.

— Każdy muł niósł takie dwa worki?

— Tak.

— Do kogo to wszystko należy?

— Do mnie.

— W takim razie prawdziwy z pana bogacz! Gdzie mi tam do pana!

— Bardzo prawdopodobne. A mógłbym mieć jeszcze o wiele więcej złota. W górach, gdzie je znalazłem pozostało mnóstwo nietkniętych żył.

— Jeszcze więcej? I mówi to pan z takim spokojem, jakby chodziło o kupę śmieci?!

— Złoto nie daje szczęścia. Potrzebne mi jest tylko po to, bym mógł zapewnić byt żonie. Już panu wspominałem o moim projekcie zawarcia małżeństwa.

— Niestety, Niestety... Nie bierz mi za złe, senior ale muszę ostrzec, że zrobi senior głupstwo. Mógł pan dostać żonę... wcale, wcale, a w dodatku tęgiego teścia.

— Nie przeczę, że dobry teść to skarb prawdziwy — uśmiechnął się Gerard. — Miałem na oku dziewczynę, która przyniosłaby mi właśnie taki posąg, ale się spóźniłem. Ojciec przyrzekł ją innemu, choć znał mnie doskonale.

— W takim razie był głupi! Kto zna seniora, wie, ile jest wart.

— Okazałem się jednak mniej wart od tego, który dziewczynę dostanie. Kandydat jest przecież rzeczywistym radcą najwyższej kasy sportowo-pocztowo-oszczędnościowo-rewizyjnej.

Pirnero cofnął się o krok i wybałuszył oczy.

— Co chce senior przez to powiedzieć?

— Tylko tyle, kim jest tamten człowiek.

— Tamten z Pirny?

— Tak.

— A co on ma z tym wspólnego? Przecież nie jest narzeczonym pańskiej wybranki!

— O, senior Pirnero! Ależ pan niedomyślny! Zwierzyłem się panu tylko, że chciałem wziąć za żonę dziewczynę, która mieszka w pobliżu. A czyż to określenie nie pasuje najbardziej do Rezedilli?

— A więc to żart?! — zagrzmiał Pirnero. — Takie figle mogą najspokojniejszego człowieka wyprowadzić z równowagi! Zresztą, Rezedilla nie chce seniora.

— Naprawdę?

— Tak. Ucieka przed panem.

— Wprost ją zapytałem, czy zrobiła to z nienawiści czy z miłości.

— Koszałki—opałki! Żadna kobieta nie ucieka dlatego, że kocha.

— Tak jednak było. Oświadczyła, że mnie kocha i że gotowa jest zostać moją żoną. Pirnero klasnął w dłonie.

— Świat się kończy! Ucieka przed nim, a chce zostać jego żoną?! Co ty na to, moja córko?

— Gerard wiernie powtórzył moje słowa. Twarz starego rozjaśniła się.

— Bądźcie więc szczęśliwi! Błogosławię was w imię Boże! Chciał połączyć ich ręce, ale Gerard zaprotestował:

— Niestety. Nic z tego nie będzie. Musi senior dotrzymać słowa, któreś dał rzeczywistemu radcy.

— On wcale nie istnieje.

— Jak to?

Pirnero najpierw się zmieszał, szybko jednak wymyślił sposób, aby wyjść z opresji:

— Owszem, sam o nim mówiłem, ale tylko po to, aby panu dokuczyć, senior Gerard! Sądzi pan, że byłem tak naiwny i nie wiedziałem, co się święci? Od dawna widziałem, jak senior zerka na Rezedillę, i nie wierzyłem w żadną inną narzeczoną. Ale ponieważ nie powiedział mi pan wprost, że kocha moją córkę, za karę wymyśliłem bajkę o tajnym radcy. Przyznam teraz, że bardzo się cieszę z przyszłego zięcia. A więc pytam raz jeszcze: czy senior naprawdę chce się ożenić z moją córką?

— Z całego serca.

— A ty, Rezedillo, chcesz go za męża?

— Tak — odparła, uśmiechając się przez łzy.

— Chodźcie, dzieci, niech was uściskam! Nareszcie mam zięcia, nareszcie! I w

dodatku jakiego!

Wieczorem, przy uroczystej kolacji Pirnero wpadł na pomysł, by całą trójką wyprawili się w podróż poślubną do jego szwagra Pedra Arbelleza. Spotkają tam zapewne Sternaua i towarzyszy. Gerard przyjął plan przyszłego teścia z wielką radością. Pewnym kłopotem była konieczność zastąpienia oberżysty w interesach.

— Możemy przecież znaleźć zastępcę — zaproponował Gerard.

— Wspaniały to pomysł! — Pirnero był w siódmym niebie. — To się dopiero zdziwią Pedro i Emma, gdy ich odwiedzę w towarzystwie... zięcia!